GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1932
NR. 2 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

DWA TYGODNIE

WIELE HAŁASU — ALE O CO?..

Ostatnie zarządzenia rządowe w dziedzinie polityki handlowej wywołały niewątpliwie jeden skutek dodatni: zwróciły uwagę naszej prasy codziennej na zagadnienia polityki handlowej państwa. Ten bobiem dział polityki gospodarczej znajduje się u nas w położeniu prawdziwego „kopciuszka" w porównaniu ze stanowiskiem, jakie w zainteresowaniu społeczeństwa zajmuje np. polityka społeczna, finansowa, kredytowa, itd. „Normalnie" przejawia się „zainteresowanie" polityką handlową w postaci bądź żądania możliwie (a bardzo często — i niemożliwie) wydatnej ochrony celnej poszczególnych dziedzin przemysłu, możliwie wysokich premij wywozowych — no i, jeśli chodzi o koła dyplomatyczne i półdyplomatyczne, pragnieniem „zacieśnienia możliwie serdecznych więzów gospodarczych" z państwem,o uzyskanie politycznego poparcia którego właśnie nam chodzi. Pozatem trudno byłoby, istotnie, doszukać się w t. zw. szerokich sferach społeczeństwa jakiegokolwiek zrozumienia dla istoty, zakresu działania i celów polityki handlowej rządu. Jeśli jednak ostatnie zarządzenia polityczno - handlowerządu wzbudziły zainteresowanie, uzewnętrznione, coprawda, w nieco „swoistej" formie, o której powiemy jeszcze w zakończeniu uwag niniejszych, to jednak z przykrością stwierdzić musimy, że *dydaktyczne* zalety zarządzeń tych nie wydają się dość wielkie, aby pokazać społeczeństwu, czem jest i jak powinna działać racjonalna polityka handlowa rządu. Zdaje się nam, mianowicie, iż posunięcia reglamentacyjno - celne ostatnich tygodni są wynikiem jakgdyby zdenerwowania, wywołanego istotnie uderzającemi przemianami na terenie obrotu międzynarodowego w Europie. Tem się, tłumaczy, iż rozporządzenia te zawierają obok posunięć bezwzględnie słusznych również i takie, których celowości niekiedy zrozumieć nie sposób.

Rozumiemy np., iż Wielka Brytanja z ujemnym bilansem handlowym i załamaniem się bilansu płatniczego dąży przez cła do wyrównania równowagi obrotu towarowego z zagranicą, nie bacząc na szkody, które — mimo premji wywozowej w postaci spadku funta — przynieść mogą jej wywozowi odwetowe zarządzenia państw poszkodowanych. Rozumiemy, iż Francja stara się o zreglamentowanie swego przywozu, posiadając 15 miljardów franków deficytu w bilansie handlowym i spadek dochodów niewidocznych w bilansie płatniczym. Rozumiemy, iż wobec presji na florena holenderskiego rząd haski przygotowuje się (ale tylko —przygotowuje się...) do ewentualnych zarządzeń ograniczających przywóz itd. itd. Rozumiemy ponadto niebezpieczeństwo, jakie grozić może nam w przyszłości, gdyby istotnie wszystkie europejskie zarządzenia reglamentacyjne i celne skrępowały nasz wywóz, gdyby restrykcje dewizowe uniemożliwiły całkowicie realizowanie wywozu do pewnych krajów i gdyby spadek waluty innych krajów utrudniały nam penetrację towarową na ich rynki przy jednoczesnem wystawieniu naszego rynku wewnętrznego na presję ich wywozu, który uzyskał premję wywozową przez deprecjację pieniądza.

Chwilowo jednak nasz bilans handlowy za r. ub. zamyka się nadwyżką wywozu o wartości przeszło 412 milj. zł., z czego na ostatni kwartał przypada ok. 137 milj. zł., czyli trzecia część. Saldo dodatnie naszego bilansu więc nie zmalało, lecz wzrosło. Na 20 krajów, z któremi głównie utrzymujemy obroty handlowe, z siedmioma tylko posiadamy w r. ub. bilans obrotów ujemny. Z tych siedmiu — Argentyna, Australja, Brazylja i Indje Brytyjskie posiadają do nas przywóz specyficzny, którego przypuszczalnie

zlikwidować w całości nie potrafimy, podczas gdy nasz wywóz do krajów tych z uwagi na trudności penetracji (odległość i częściowa niewypłacalność) nie będzie mógł ulec wydatnemu powiększeniu. Ujemność bilansu ze Stanami Zjednoczonemi jest u nas notoryczna i na długie lata przynajmniej nie do usunięcia. Saldo ujemne w obrotach z Niemcami jest minimalne (listopad dał już saldo dodatnie). Wreszcie równie minimalne saldo ujemne z Francją wymaga istotnie, być może, pewnych korektyw, ale poto przecież nie trzeba było wydawać listy 96-u zakazów przywozu...

Zdaniem naszem przeto zakazy ostatnie wydane zostały zbyt wcześnie, kiedy objektywne warunki bynajmniej nie wykazywały ich konieczności, podczas gdy wprowadzenie ich może wywołać odwetowe zarządzenia zagranicy wobec naszego i tak już osłabionego wywozu. Państwo, które na politykę taką idzie, musi mieć w swej polityce handlowej, niemal „nóż na gardle". Wyznajemy, iż takiej sytuacji u nas zupełnie nie widzimy.

Niejednokrotnie dawaliśmy w artykułach i notatkach wyraz przekonaniu, iż, kto wie, czy nie trzebaby było pomyśleć w razie konieczności o zarządzeniach restrykcyjnych w stosunku do obcego przywozu. Mieliśmy jednak zawsze na myśli restrykcje ściśle dostosowane do potrzeb odwetowych czy ochronnych wobec krajów, które nasz wywóz specjalnie krępuję albo które specjalnie naszemu rynkowi grożą. Wolelibyśmy w tych wypadkach wydawanie szeregu odrębnych zakazów przywozu w poszczególnych jego pozycjach od ogromnej listy, w której trudno czasami zorjentować się, co skłoniło właśnie inicjatorów do wprowadzenia na nią tego czy innego produktu.

Zwłaszcza, iż szereg produktów z listy zakazów powtórzony został na wydanych niemal jednocześnie listach nowych podwyżek ceł. Przypuszczamy, że ta kumulacja prohibicji wynika poprostu z faktu, iż do ostatniej chwili wahano się, czy dany produkt chronić cłem czy zakazem. W rezultacie — chroniony jest podwójnie.

Nowe listy ceł wywołały bodajże jeszcze większe zainteresowanie od listy zakazów przywozu. Stało się to niewątpliwie z racji dwuch inowacyj, które jedna z list tych zawiera; wprowadzenia do naszej taryfy celnej instytucji ceł morskich oraz zwłaszcza silniejszego napięcia interwencjonizmu państwowego w dziedzinie polityki handlowej w postaci umożliwienia przywozu przez porty nasze poszczególnych produktów po niskiem cle za pozwoleniem władz administracyjnych trzeciej instancji.

O cłach morskich, jako takich, niewiele mamy do powiedzenia. Żałować tylko należy, że ten skądinąd słuszny instrument polityki handlowej i morskiej nie został przy wprowadzeniu go w życie wykorzystany w formie atutu w umowach handlowych chwili obecnej. Powtarza się tutaj raz jeszcze to, o czem mówiliśmy już niejednokrotnie, a mianowicie zbyt małe skoordynowanie naszych autonomicznych *zamierzeń i celów z możliwościami i zamiarami* konwencyjnemi. Dotychczasowa polityka zakupów zagranicznych naszych organów państwowych czy monopoli jest tego najlepszym dowodem.

O ile jednak jednostronne wprowadzenie ceł morskich może być przynajmniej wytłomaczone koniecznością szybkiego oddziałania na obroty portów polskiego obszaru celnego (co w obecnym kryzysie transportów morskich może wytłomaczyć wiele), o tyle nasuwa się pogląd, iż zarządzenie, wprowadzające do taryfy celnej możność korzystania z cła niskiego przy przywozie pewnych produktów w zależności od decyzji władz administracyjnych, nie było jeszcze, kto wie, dostatecznie przemyślane. Gdyby tego rodzaju preferencja celna w stosunku do bawełny miała oddziałać przymusowo na powstanie kartelizacji produkcji wyrobów bawełnianych w kraju, to można się wprawdzie spierać o celowość polityki kartelizacyjnej, ale przynajmniej sam cel zarządzenia byłby widoczny. Inaczej zgoła przedstawia się sprawa przy owocach południowych i towarach kolonjalnych, gdzie jeszcze niewiadomo, jakie będą skutki zarządzenia, a, więcej, jak się zarządzenie samo wykona... Skoro p. Fabierkiewicz na łamach „Gazety Polskiej" przewiduje w zakresie owoców „możliwość powstania monopolu faktycznego", podczas gdy p. Hilchen w „Polsce Gospodarczej" kategorycznie twierdzi, iż „o monopolach niema mowy", a chodzi tu tylko o wzmożenie eksportu, to widać z tego, iż niema dotychczas uzgodnionych poglądów na działanie tego nowego zarządzenia, — tak, iż, naszem zdaniem, trzebaby go było w każdym razie... chwilowo nie wydawać:

Mimo tych niedociągnięć nic nie upoważnia t. zw. opinji publicznej, zgrupowanej w szeregu pism codziennych różnego kalibru i autoramentu, do traktowania powyższego zarządzenia (a, zdaje się i wogóle ostatnich zarządzeń reglamentacyjnych, o ile wogóle można z pism tych zrozumieć, co właściwie autorzy ich myślą i o co im chodzi...) jako czynnika korupcji w urzędach państwowych. Można być zwolennikiem polityki liberalnej, można (jak to czynimy sami powyżej) mieć szereg zastrzeżeń merytorycznych w stosunku do ostatnich zarządzeń, stojąc nawet w pewnej mierze na stanowisku interwencjonizmu, koniecznego w chwili obecnej. Ale przedewszystkiem, robiąc hałas, trzeba wiedzieć, o co się go robi, a więc — innemi słowy — pisząc o polityce handlowej, trzeba coś o niej wiedzieć i nie traktować posunięć z jej zakresu z temperamentem i „rzeczowością", właściwą — powiedzmy — atmosferze walk partyjno - politycznych. Walka prowadzona w tym stylu i przenoszona na grunt rzeczowy odsłania tylko rozpaczliwy obraz poziomu naukowego... krytyków.

EDWARD LIPIŃSKI

WALKA Z KRYZYSEM A ZNIŻKA CEN[1])

Jednem z najważniejszych źródeł kryzysu, a zarazem przeszkodą do jego przezwyciężenia, jest nierównomierność spadku cen. Usunięcie tej nierównomierności stanowi główne zadanie polityki gospodarczej w walce z kryzysem.

Akcja obniżania cen, pojęta jako metoda walki z kryzysem, może mieć jedynie jako zadanie obniżenie cen artykułów mniej lub więcej zmonopolizowanych. Ceny artykułów, które podlegają wolnej konkurencji, zostały raczej w nadmierny sposób obniżone i byłoby szkodliwe, gdyby usiłowano ceny te w dalszym ciągu obniżać. Deflacyjna zniżka cen zawsze wywołuje działanie depresyjne. Natomiast jest niewątpliwie koniecznością, aby zostały obniżone ceny wyznaczane przez organizacje monopolistyczne albo monopoloidalne.

Jeden z najważniejszych czynników, który utrudnia przezwyciężenie kryzysu gospodarczego — to nierównomierny spadek cen: silna zniżka z jednej strony, oraz wzrost albo utrzymywanie się na wysokim poziomie cen, z drugiej.

Spadające ceny obniżają rentowność odpowiednich przedsiębiorstw i zmniejszają ich siłę nabywczą *). Jeżeli ponadto przedsiębiorstwa te muszą nabywać składniki produkcyjne po cenach wysokich, odpowiadających poprzedniemu okresowi gospodarczemu, w którym ceny sprzedażne były wogóle wysokie, wówczas rentowność obniża się jeszcze bardziej. Siła nabywcza tych przedsiębiorstw maleje, mogą one ze swej strony ujawniać popyt na towary w zmniejszonym zakresie, rozmiary produkcji ulegają dalszemu obniżeniu, wzmaga się bezrobocie. Utrzymywanie się — przy ogólnym spadku cen — na niezmiennym poziomie cen pewnych podstawowych składników produkcji jest źródłem bezrobocia w innych gałęziach wytwarzania, a zarazem źródłem bezrobocia w tej gałęzi, gdzie ceny są sztucznie wysokie. Wysokie ceny żelaza nie pozwalają na obniżenie cen wyrobów żelaznych, zapotrzebowanie na wyroby żelazne spada, zmniejsza się produkcja i wzrasta bezrobocie. Jednocześnie produkcja żelaza również musi się obniżyć i wywołać bezrobocie w hutach żelaza. Obniżenie ceny żelaza, o ileby wywołało zwiększenie zapotrzebowania, obniży koszty produkcji, zmniejszając udział kosztów stałych na jednostkę produkcji, a więc zwiększy rentowność produkcji żelaza i polepszy stan zatrudnieniaw hutnictwie.

Zniżka cen podstawowych składników kosztów produkcji okaże się, szczególnie w tym wypadku celowa, *jeżeli zdoła pobudzić popyt potencjalny t. zw. popyt drzemiący*. Istnieje niewątpliwie w gospodarstwie społecznem zapotrzebowanie, które nie będzie zaspokojone przy cenach wysokich, natomiast wywoła zwiększony popyt przy cenach niskich. Polityka przedsiębiorstw przemysłowych w zakresie cen w obecnej depresji powinna polegać na tem, aby stosować w jaknajszerszym zakresie ceny różniczkowe, to znaczy, tem niższe im większe jest zapotrzebowanie danego odbiorcy. Wyjątkowo wysokie rabaty dla odbiorców, zwiększających zapotrzebowanie ponad pewną normę, lub niskie ceny dla odbiorców dotychczas „niezdobytych", spowoduje niewątpliwie obudzenie t. zw. drzemiącego popytu, uczyni bowiem rentownemi inwestycje, lub spożycie, które przy wysokich cenach nie opłacają się. Jest np. prawdopodobne, że można w kraju obudzić pewien *prywatny ruch budowlany*, o ileby w silnym stopniu obniżono *łączne koszty budowy*. Bardzo znaczne obniżenie cen cegły, cementu, wapna, żelaza budowlanego, drzewa itp. składników budowy, obudzi niewątpliwie ruch budowlany o charakterze prywatnym. Gdyby do tego dołączyła się akcja Banku Gospodarstwa Krajowego w postaci kredytów, wynoszących np. 10 % kosztorysu oraz gdyby zastosowano szereg innych ulg, np. podatkowych dla nowowznoszonych budowli prywatnych, wówczas, nawet przy dzisiejszym braku kapitału i zastoju gospodarczym, możnaby liczyć na pewne ożywienie ruchu budowlanego. Pod tym warunkiem, oczywiście, że cała akcja byłaby odpowiednio przygotowana, przemyślana i przeprowadzona.

Gałęzie, posiadające wysokie koszty stałe, a więc głównie przemysł ciężki, w okresie pogorszenia konjunktury, czyli rosnącego ciężaru kosztów stałych, szukają zbytu zagranicą i zbyt ten forsują nawet po najniższych cenach. T. zw. dumping jest koniecznością gospodarczą dla przemysłu ciężkiego, ponieważ umożliwia utrzymanie większych rozmiarów produkcji, co osłabia ciężar kosztów stałych. Gdyby nie było dumpingu, ceny wewnętrzne musiałyby być podniesione, ponieważ przy zmniejszonej produkcji udział kosztów stałych na jednostkę produktu byłby tak silny, iż podniesienie ceny stałoby się bezwzględną koniecznością. Jeżeli jednak dumping, czyli forsowanie eksportu po szczególnie niskich cenach zagranicę, wydaje się niekiedy koniecznością, to nasuwa się pytanie, czy nie możnaby spowodować wzrostu zapotrzebowania, a więc osiągnąć zmniejszenie wpływu kosztów stałych, nie przez dumping zagranicę, lecz raczej *drogą forsowania rynku wewnętrznego*. Czyż nie byłoby raczej korzystne zdobyć dla węgla polski rynek wschodni, t. zn. kresy wschodnie, gdzie spożycie węgla (i żelaza zresztą) jest wyjątkowo małe, niż zdobywać rynki północne?

Jak wskazaliśmy wyżej, istnieje stale w społeczeństwie pewien popyt potencjalny, który może być pobudzony przez obniżkę cen. Tego rodzaju dumping krajowy posiada bezwzględną przewagę nad

---

[1]) Powyższy artykuł Redakcja traktuje jako dyskusyjny.

*) Jedynie spadek cen, wywołany wzrostem produkcyjności pracy, nie wywołuje działania perturbacyjnego, z zastrzeżeniem, że wzrost produkcyjności pracy był równomierny, bowiem w przeciwnym wypadku te zakłady, w których produkcyjność pracy nie zmieniła się, odczuwają spadek cen jako deflację.

dumpingiem zagranicznym. Nabywcy krajowi, którzy ujawniają dodatkowe zapotrzebowanie pod wpływem zniżki cen, rozszerzają produkcję swoich zakładów, a więc zmniejszają bezrobocie. Tymczasem dumping zagraniczny, wprawdzie umożliwia utrzymanie większej produkcji w zakładach dumpingujących, natomiast wywiera na pozostałe zakłady w innej gałęzi produkcji. wpływ niewątpliwie ujemny. Ten ujemny wpływ polega na wysokiej cenie wewnętrznej, co musi tłumić rozmiary wewnętrznego zapotrzebowania, a więc zwiększa bezrobocie. Dumping wewnętrzny nietylko zmniejsza rozmiary krajowego bezrobocia, ale jeszcze ponadto wytwarza zdrowe podstawy konkurencji z zagranicą dla szeregu gałęzi produkcji. Obniżenie kosztów wytwarzania tą drogą osiągnięte wzmacnia siłę konkurencyjną odpowiednich przedsiębiorstw i, albo umożliwia eksport zagranicę, albo też hamuje odpowiednie importy, przez utrzymywanie cen na niskim poziomie.

Dobroczynny wpływ obniżki cen w zakładach, w których koszty stałe posiadają duże znaczenie, można wykazać na przykładzie. Załóżmy, że huta, która tylko w 40% swojej zdolności wytwórczej jest uruchomiona, musi podnieść ceny żelaza, aby wyrównać wzrost kosztów stałych, wynikających ze zmniejszonego wykorzystania urządzeń wytwórczych. Wysokie ceny żelaza powodują zmniejszenie zapotrzebowania na żelazo i wzrost bezrobocia w tych zakładach, które żelazo konsumują, np. w fabrykach naczyń żeliwnych, albo naczyń emaljowanych, maszyn rolniczych i t. d. Jeżeli przez obniżkę cen uda się zwiększyć zbyt żelaza i wykorzystać aparat wytwórczy, np. w 80% zdolności wytwórczej, wówczas obniżą się silnie koszty stałe i rentowność huty wzrośnie, w każdym razie nie zmniejszy się wcale, natomiast zwiększy się zatrudnienie w fabrykach, przetwarzających żelazo, co spowoduje wzrost konsumcji i spadek bezrobocia.

Huta może sprzedać 100 tysięcy tonn żelaza po 350 złotych, lub 200 tysięcy tonn po 250 złotych; rentowność huty w jednym i drugim wypadku będzie jednakowa, natomiast efekt gospodarczy w wysokim stopniu odmienny.

Z powyższego punktu widzenia zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż obniżenie cen artykułów zmonopolizowanych lub wogóle cen, które nie obniżają się w przebiegu kryzysu gospodarczego, jest poprostu najpierwszą koniecznością gospodarczą w walce z kryzysem. Dotyczy to nietylko cen towarów, które są składnikami kosztów produkcji, jak żelazo, węgiel kamienny, cement i t. p., lecz również i towarów, będących przedmiotem spożycia najszerszych mas, głównie cukru, nafty, węgla opałowego, chleba, mleka i t. p. W ostatnich czasach zauważyć można spadek konsumcji cukru, wywołany ciężkiem położeniem ludności, zapotrzebowanie bowiem na cukier jest w wysokim stopniu elastyczne. Można więc oczekiwać, że obniżenie cen cukru spowoduje wzrost zapotrzebowania tego artykułu, a jeżeli nawet wzrost zapotrzebowania nie wyrówna ubytku rentowności, pochodzącego z obniżenia cen cukru, to niewątpliwie zwiększy siłę nabywczą ludności w stosunku do innych artykułów. Utrzymywanie na wyjątkowo wysokim poziomie cen takich artykułów, jak cukier, nafta, węgiel, mięso, papierosy, spirytus *) jest źródłem bezrobocia w tych gałęziach produkcji dóbr konsumcyjnych, na które zapotrzebowanie musi być zmniejszone z racji odpowiednio większych wydatków na artykuły o wyjątkowo wysokiej cenie monopolu lub kartelu.

Czy obniżka cen artykułów zmonopolizowanych i skartelizowanych jest *możliwa*, doszliśmy bowiem do wniosku, że jest konieczna i pożyteczna. Przedsiębiorstwa znajdują się w krytycznej sytuacji finansowej, przedewszystkiem zaś te, w których udział kosztów stałych jest bardzo znaczny. Odpowiedzą one, że oczywiście, nie mogą one cen obniżyć. Jest pewne, że gdyby w roku 1928 zapytano cegielnie, czy mogą obniżyć ceny (a wówczas istniały stosunkowo wysokie ceny cegły), odpowiedziałyby, że nie mogą, ponieważ zniszczyłoby to ich rentowność. A tymczasem cena cegły została obniżona bardzo silnie. Kryzys polega na zniżce cen, kryzys zmusza do zniżki cen. Gdyby nie było syndykatu żelaznego, ceny żelaza zostałyby obniżone i, być może, sytuacja hut byłaby lepsza, niż jest obecnie, ponieważ niskie ceny powstrzymałyby spadek zbytu. Jeżeli jest kryzys, przedsiębiorstwa, celem forsowania zbytu, mogą zawiesić całkowicie amortyzację i to umożliwi im zniżkę cen. Można również przystąpić do sanowania przedsiębiorstw, drogą obniżenia rozwodnionych kapitałów zakładów. To napewno poprawi rentowność. A ponadto całe zagadnienie musi być trakktowane dynamicznie, nie statycznie. Zakładamy, że obniżka cen kartelowych obudzi drzemiący popyt, obniży udział kosztów stałych, a więc, jeżeli nie polepszy, to nie pogorszy wcale sytuacji przedsiębiorstw. Zniżka cen kartelowych jest operacją bolesną, lecz uzdrawiającą.

Wypadałoby również zastanowić się nad rzeczywistą siłą konkurencyjną naszej produkcji w porównaniu z sąsiedniemi krajami. Cena żelaza sztabowego wynosi u nas zł. 350 za tonnę, a w Niemczech zł. 233 (RM. 110);blacha gruba w Polsce zł. 432.50, w Niemczech — zł. 280; przesyłka karty pocztowej odpowiednio 25 i 12,7 gr.; przesyłka paczki wagi do 5 kg. — 97 i 67 gr.; koks gazowy w Warszawie 64 zł., w Berlinie — 40 zł. Są to przykłady wyrwane, możnaby je dowolnie mnożyć. Niebezpieczeństwo takiej sytuacji, w okresie spotęgowanej wojny gospodarczej wszystkich ze wszystkimi, nie ulega chyba wątpliwości.

W związku z akcją obniżenia cen, należy zbadać tworzenie się cen tych artykułów importowanych, gdzie istnieje albo monopol importera, albo monopol wywołany pozwoleniami przywozowemi, jak np. w owocach południowych. Badanie cen artykułów importowanych wykazało niezbicie, iż ceny te nie są usprawiedliwione rzeczywistemi kosztami, Aparat radjowy, który, po opłaceniu cła i kosztów przewozu, powinien kosztować w Warszawie 670 zł., kosztuje 970 zł. Nadwyżka jest zyskiem monopolisty i nie jest niczem usprawiedliwiona. Również ceny owoców południowych nie są usprawiedliwione istniejącemi wysokimi cłami. W cenie tej bowiem tkwi wysoki zysk pseudo-monopolisty. Czynnikiem, który wywołuje ten zysk monopolisty

*) Nasze państwowe monopole zapomniały całkowicie o istnieniu punktu Cournota. Niektórym czynnikom wydaje się wogóle, że „nauka ekonomji nie jest dostatecznie skonkretyzowana".

i tę nadmierną cenę, jest z jednej strony cło, a z drugiej reglamentacja przywozu. Wysokie cło, które musi być zapłacone gotówką, jest kalkulowane jako koszt własny, a ponieważ w kalkulacji ceny stopa kosztów własnych wynosi przeciętnie 100%, więc cło znajduje się w kosztach kalkulacji w podwójnej wysokości. Te nadmierne zyski na jednostce towaru mogą być usprawiedliwione do pewnego stopnia bardzo znacznem ryzykiem importera. Wysokie cło wywołuje wysoką cenę, wysoka cena zmniejsza konsumcję i obroty, ryzyko wynikające z psucia się towarów staje się bardzo znaczne i musi wpływać na wysokość ceny. Całe to zagadnienie wymaga dokładnego zbadania, ponieważ wydaje się, iż szkody, wynikające z powyższego układu rzeczy, są znacznie większe, niż odpowiednie korzyści.

Słynne pozwolenia na przywóz, będące wynikiem daleko idącej reglamentacji importu, są przyczyną tworzenia się monopoli tych importerów, którzy pozwolenia otrzymują.

Największą zdobyczą kapitalizmu jest wolna konkurencja. Przy istnieniu konkurencji zmiany cen znakomicie spełniają rolę *planu* w życiu gospodarczem, i powodują, że życie to grawituje nieustannie ku równowadze. Monopol karteli i fałszywa interwencja państwa łamią kości tego gospodarczego planu. Ponieważ w najważniejszych dziedzinach życia, konkurencja nie istnieje, przeto działalność państwa powinna polegać na jej przywracaniu w imię ogólnego zdrowia gospodarczego. Etatyzm polegałby więc na przywracaniu zdrowej konkurencji. Byłby to bardzo piękny etatyzm i pożyteczny. Nie jest paradoksem twierdzenie, że to, co dobrego *dotychczas zrobiono w walce z kryzysem, polegało na tem, że zrobiono stosunkowo mało.* Wszelkie dotychczas stosowane zarządzenia zaradcze, np. w zakresie forsowania eksportu, posiadają niekiedy wartość b. wątpliwą. Premje eksportowe np. na wyroby włókiennicze, są czynnikiem, wywołującym nieracjonalne dyspozycje gospodarcze, sztucznie utrzymują przy życiu działy produkcji, oparte na złej kalkulacji, albo też tą właśnie kalkulacją się powodują. Racjonalna produkcja jest to taka produkcja, która zaspokaja istniejącą potrzebę wg. cen normalnej kalkulacji. Sztuczna cena wytwarza sztuczną, chybioną, nieekonomiczną produkcję. Produkcja taka karmiona jest środkami przeniesionemi z innych rynków, a więc wywołuje na tamtych rynkach bezrobocie. Niszczy się popyt zdrowy, opłacający normalną kalkulację, aby finansować popyt sztuczny, umożliwiający życie produkcji chorej, nieekonomicznej, marnotrawiącej siły i środki społeczeństwa.

Nie organizować, lecz usuwać przeszkody dla samoorganizacji — to chyba istotny cel polityki antykryzysowej.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

DROGI I BEZDROŻA POLITYKI KRYTYKI

Czwarte „Notverordnung" jest etapem w ewolucji przesuwania norm prawnych, regulujących działalność gospodarczą, z prawa cywilnego do prawa publicznego. Dla dzisiejszych Niemiec „Notverordnung" Nr. 4 jest najbezpieczniejszą drogą wyjścia z sytuacji, ponieważ nie stwarza skutków wiążących, których w razie potrzeby nie możnaby było łatwo odrobić.

Niedawno zgasły wielki polski uczony, socjolog i prawnik śp. Leon Petrażycki twierdził ku zgrozie wszystkich współczesnych ekonomistów, że ekonomja polityczna jest nauką o refleksyjnem oddziaływaniu norm prawa cywilnego. Twierdzenie to oczywiście musiało być uważane za heretyckie w okresie, kiedy teorja ekonomiczna opierała się na dogmacie wolnej konkurencji i wskutek czego wszelka próba wprowadzenia nawet samego tylko pojęcia, normy, i to normy prawnej, mającej z istoty swej charakter kategoryczny i woluntarystyczny, musiała wydawać się rażącym nonsensem, gdyż była w zasadniczej sprzeczności z doktryną ekonomiczną, przepojoną duchem determinizmu i uznania przyrodniczej konieczności zjawisk ekonomicznych. Osobiście wniósłbym do poglądu prof. Petrażyckiego tę poprawkę, że normy prawne, regulujące działalność gospodarczą jednostek w dzisiejszych czasach, powoli przenoszą się z dziedziny prawa cywilnego do prawa publicznego. Zdanie powyższe jest tylko bardziej prawniczem sformułowaniem myśli p. M. Kaczorowskiego w art. „Antykapitalistyczna obrona wytwórczości" w poprzednim N-rze „Gospodarki Narodowej", gdzie p. Kaczorowski mówi o wzrastaniu sumy przepisów prawa bezwzględnego w ustawodawstwie, dotyczącem stosunków gospodarczych. Ewolucję w tym kierunku zapoczątkowały, jak wiadomo, t. zw. prawa robotnicze lub ochronne, za pogwałcenie, których upomina się państwo w osobie inspektora pracy, ale nie prokuratora i które dotychczas nie jest uważane za gałąź prawa oficjalnego, ponieważ nauka o prawie, jako wybitnie konserwatywna, nie chce dodawać nowego rozdziału do podręczników i kodeksów.

Zdawałoby się, że jest rzeczą normalną, iż życie gospodarcze, jako część całego życia zorganizowanych społeczeństw ludzkich, musi podlegać normom prawnym, podobnie jak i wszystkie inne dziedziny życia społeczeństw i wszelkich form zbiorowej działalności. Można przecież rozpatrywać ewolucję form społecznych, a w szczególności dzisiejszego państwa, jako obejmowanie normami prawnemi co-

raz to nowych przejawów życia. Tak ongiś każdy feodalny rycerz mógł najechać na zamek sąsiada i zniszczyć jego włości, ściągnąć okup lub kazać płacić stałą daninę. Takie postępowanie było przejawem ówczesnej wolnej konkurencji w dziedzinie zarówno politycznej, jak i gospodarczej. Dziś tego rodzaju akcja jest uważana za zbrodnię, ale nie jest uważane za zbrodnię doprowadzenie do ruiny wielu jednostek gospodarczych przez manewry giełdowe lub inne formy konkurencji. Oczywiście, że ograniczanie „swobód" feodałów przez króla spotykało się z takiemiż protestami, jak spotykają się obecnie próby ograniczenia przez państwo swobody działalności gospodarczej dzisiejszych feodałów kapitalistycznych próby podejmowane w interesie publicznym.

Taki prawniczy sposób podejścia do zjawisk gospodarczych, pomimo całej swej logiczności, jest niezmiernie rzadki, to też z prawdziwem zainteresowaniem przeczytałem wyżej wymieniony artykuł p. M. Kaczorowskiego, traktujący o osławionem niemieckiem czwartem „Notverordnung". Pan Kaczorowski trafia w sedno zagadnienia, nazywając wspomniane zarządzenie normą prawną, która wkracza w głąb prywatno - prawnych stosunków i określa ją jako bunt producentów przeciw kapitalistom (finansistom?). Nie mogę tylko podzielić obaw p. Kaczorowskiego co do możliwości ujemnego wpływu obniżenia stopy dyskontowej na ruch kapitałów, zwłaszcza zagranicznych, ponieważ w okresie ogłoszenia niewypłacalności i związanego z tem całkowitego braku zaufania, kwestja stopy procentowej nie gra żadnej roli. My z własnego doświadczenia wiemy, iż wysoka stopa procentowa sama przez się obecnie kapitałów nie przyciąga, gdyż świadczy o niepewności i złej sytuacji kraju dłużniczego.

Nie mogę natomiast zgodzić się na wywody p. A. K. Ivanki, zawarte w artykule p. t. „Rozkazodawstwo gospodarcze" („Gosp. Narodowa" Nr. 1 z 1932 r.). Pan Ivanka zaczyna od przeciwstawienia metodzie „rozkazodawstwa gospodarczego" dotychczasowych klasycznych metod postępowania. Nie będę walczył o słowa, aczkolwiek wydaje mi się, że termin „rozkazodawstwo" nie jest tu szczęśliwie użyty, albowiem jest to zasadniczo ustawodawstwo, jest to stworzenie dla życia gospodarczego normy. Ale mniejsza z tem.

P Ivanka twierdzi, że polityka ekonomiczna posiada dwa warjanty laissez-faire'yzmu i polityki stwarzania objektywnych przyczyn i warunków. Sądzę, że 100%-wy liberalizm nie jest właściwie polityką gospodarczą, ponieważ nie można mówić o polityce gospodarczej państwa wtedy, gdy wszelka działalność państwowa w sprawach gospodarczych jest zgóry wykluczona. Oczywiście, iż z punktu widzenia przeciążonych obecnie pracą urzędników resortów gospodarczych byłaby ta polityka najdogodniejsza—poprostu nic nie potrzeba robić; samo się zrobi. Pomówmy więc o tym drugim warjancie.

P. Ivanka używa wyrażenia: „stwarzanie objektywnych *przyczyn*", ja jednak, opierając się na tem, że w świecie faktów niema takich przyczyn, któreby same nie były faktami, będę mówił o objektywnych faktach. Stwarzanie takich objektywnych faktów przez politykę państwową, jak cła, podatki, taryfy przewozowe odbywało się w tenże sam sposób, co i wydanie „Notverordnung" — przez stworzenie normy prawnej. Dziś jednak norma ta zwraca się bezpośrednio do wytwórczości, co nie zmienia wcale faktu, że jest to taki sam fakt objektywny. Pan Ivanka mówi, że jest to bezpośrednie działanie, czego przedtem nie było i że według dawnej metody obniżenie cen wyrobów kartelowych można było osiągnąć przez stworzenie fabryk konkurencyjnych i uzyskanie płynności rynku pieniężnego, przez co osiągnęłoby się zniżkę stopy procentowej. I to wszystko bez bezpośredniego działania? Któż założy konkurencyjną fabrykę, którąby się ośmieliła przeciwdziałać potężnemu kartelowi, a zwłaszcza, jak to zrobi w okresie drożyzny kapitału i braku zbytu? Może państwo? Ale przecież będzie to najbardziej bezpośrednie działanie państwa i jakież byłoby to głupstwo w dzisiejszych przeinwestowanych Niemczech zakładać nowe fabryki w celu obniżenia kosztów produkcji! Nie! Droga wybrana przez Brüninga nie jest tylko najkrótsza, ale jest chyba jedynie możliwa.

Dalej p. Ivanka powiada, że polityka stwarzania objektywnych przyczyn (faktów) jest korzystniejsza od rozkazodawstwa, dlatego, że słuszność jej sprawdza się przy pomocy automatyzmu gospodarczego, mianowicie: że o ile przyjęty i wykonywany plan nie wywołuje pożądanego zjawiska, to możnaby wtedy się cofnąć. To znaczy, że jeżeli według podanej przez autora recepty stworzy się dla obniżenia cen objektywne przyczyny w postaci konkurencyjnych fabryk i nic z tego nie wyjdzie, to można wtedy planu zaniechać. Merci! Tak właśnie zrobiono z amerykanizacją i racjonalizacją przemysłu w Niemczech, które miało obniżyć koszty własne i widzimy, co z tego wyszło. A pozatem, czyż nie o wiele łatwiej jest cofnąć „rozkaz", który, jak omawiane „Notverordnung", nie pociąga za sobą zużycia kapitałów, któregoby już nie można było odrobić. Tak, rzeczywiście: „w trudnych warunkach znajduje się dziś ekonomista, który swoje koncepcje polityka gospodarczego opiera na klasycznych założeniach". Zapomina on bowiem o mnogości pobudek ludzkiego działania i że nie samym tylko procentem od kapitału żyje kapitalista. „Życie gospodarcze to nie kompanja, którą można postawić na baczność". Dobry dowcip. Lubię takie. Ale dla żartu potraktuję go poważnie i, przyjmując według kompetentnego świadectwa p. H. Tenenbauma, że ilość ludzi, w których rękach znajduje się całość dyspozycji gospodarczej świata, wynosi 250 osób, to jest akurat dobra kompanja w składzie bojowym, zapytam, czy nie może być takich okoliczności, w których tę kompanję można byłoby postawić na baczność i czy nawet znaczna część tej kompanji już w chwili obecnej nie stoi na baczność, ponieważ nie może sama się zdecydować, co robić?

No i na zakończenie: „*ekonomiści* uważają, że tylko automatyzm procesów gospodarczych jest właściwą formą działania ekonomicznego i polityk nie może, nie powinien regulować nic bezpośrednio, bo wywoła tylko pogorszenie sytuacji". Tu koniec ze mną. Nie jestem ekonomistą. Niema też ani jednego ekonomisty w Z. S. S. R. Wszyscy ekonomiści szkoły marksowskiej, etatyści, interwencjoniści, włoscy faszyści, całe zastępy polityków gospodarczych, kierujących obecnie losami Europy, nie są wogóle ekonomistami, ponieważ nie pokładają swojej ostatniej nadziei w automatyzmie, ponieważ wierzą, że *świadome, rozumne ludzkie działanie może wyprowadzić świat z tego chaosu, w który go zapędziła nieskrępowana, oparta na egoistycznych przesłankach, wojna wszystkich przeciw wszystkim.*

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

NEO—MERKANTYLIZM

Na przestrzeni szeregu stuleci gospodarstwo reglamentowane, zwłaszcza gdy chodzi o wymianę międzynarodową, jest zjawiskiem normalnem, gospodarstwo zaś wolne, lub rządzone według zasad liberalizmu — zjawiskiem raczej wyjątkowem.

Fakty, których w dziedzinie polityki gospodarczej jesteśmy obecnie świadkami, a poniekąd i autorami, napawają przerażeniem teoretyków ekonomji politycznej. Przeżywany przez nas okres — okres protekcjonizmu, prohibicjonizmu, interwencjonizmu, etatyzmu — nasuwa im przeświadczenie, że aparat gospodarczy, którym „homo oeconomicus" manewrował po wojnie, zepsuł się. Kryzys, szerzący się żywiołowo, wytwarza stan — ich zdaniem — wysoce niepokojący, grożąc nieobliczalnemi konsekwencjami, o ile nie zawrócimy co rychlej z drogi, na jaką weszliśmy. Każde posunięcie z zakresu polityki ekonomicznej budzi w teoretykach ekonomji przeświadczenie, że „będzie gorzej". Sugerują nam oni, że tendencje, któremi się kierujemy, są fałszywe i fatalne w skutkach. „Najwięcej błędnych posunięć polityki ekonomicznej robiono zawsze w chwilach gospodarczo trudnych" — mówi prof. Heydel *). Exempli modo: gospodarka wojenna. A zatem to, co się dzieje obecnie, co ludzie zrównoważeni chętnie nazywają psychozą, jest czemś nienormalnem, czy anormalnem, czemś wyjątkowem, jakimś zapewne chwilowym, krótkotrwałym epizodem, wykarykaturzoną dygresją?...

A może jednak przeżywamy wstępny okres zupełnie *nowej epoki*, nowej w tym sensie, że niepodobnej do epoki liberalizmu w wydaniu powojennem? Może to jest nawrót do przeżytych w swoim czasie form, powrót na opuszczone niegdyś etapy rozwoju historycznego? Pospolicie znane powiedzenie Ben Akiby lub teorja Vica („corso e ricorsi") mogą w równym stopniu przemawiać do umysłu przeciętnego obywatela, jak przeświadczenie, że ulica, w którą weszliśmy, jest ślepym zaułkiem, skąd niema wyjścia — jest tylko odwrót. Odwrót, jeśli już nie na czyste, spokojne podwórko liberalizmu XIX stulecia, to do sal genewskiej „Assemblée" symbolu powszechnej zgody i powszechnego współdziałania. Swoją drogą ta „spiralna" teorja włoskiego filozofa ma dużą siłę atrakcyjną i przemawia jaskrawym kolorytem słów. Sięgnijmy do historji gospodarczej: może tam zobaczymy siebie i swoją epokę?

Wiek XIII — państwo Fryderyka II na Sycylji, wiek XIV — państwo Zakonu Krzyżackiego: tu i tam etatyzm (państwo posiada majątki i przedsiębiorstwa rolne i handlowe o charakterze monopolistycznym). Średniowiecze wykształca politykę gospodarczą miast, w której czynniki publiczne czuwały nad kierunkiem i rodzajami produkcji i panował duch wyłączności, przywileju i reglamentacji.

„Dominującą cechą gospodarstwa średniowiecznego była daleko posunięta reglamentacja wytwórczości i sprzedaży. Badacze gospodarstwa średniowiecznego zgadzają się pomiędzy sobą co do tego, że municypalny średniowieczny system reglamentacyjny dla swej realizacji wymagał kilku koniecznych warunków, do których należały: 1) monopol skupu albo przywilej pierwokupu surowców przez warsztaty wytwórcze w danym obszarze municypalnym, a więc miejskim i okolicznym podmiejskim, 2) monopol, albo prawo pierwszeństwa zbytu wytworzonych przedmiotów na tymże określonym obszarze. Monopol albo prawo pierwokupu i pierwosprzedaży pociągały za sobą konieczność reglamentacji przywozu i wywozu na obszarze municypalnym. Z monopolistycznego czy też uprzywilejowanego stosunku do obszaru municypalnego wynikała reglamentacja cen, mająca na celu z jednej strony ochronę spożywcy przed wyzyskiem, a z drugiej strony zapewnienie wytwórcy godziwego zysku*). Niewątpliwie „gospodarstwo średnioweczne nie posiadało charakteru zupełnie jednolitego i obok działów ściśle reglamentowanych istniały działy wytwórczości o charakterze, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, światowym, niezmiernie luźnie związane ze swym lokalnym obszarem"*), jednakowoż cechą dominującą średniowiecza były: reglamentacja, prohibicjonizm, interwencjonizm.

Stąd względnie łagodne przejście do merkantylizmu wieków nowożytnych. Ludwik XI, łamiąc średniowieczne przeżytki polityczne (feodalizm, przewagę i niezależność miast), stosuje w polityce państwowej metody polityki gospodarczej miejskiej. „Życie gospodarcze nie rozwija się swobodnie, podlega ono reglamentacji, a cała polityka gospodarcza sprzyja monopolom, nie zaś wolnej konkurencji i czysto prywatnej inicjatywie" — pisze o epoce XV — XVII wieku prof. Rybarski **). Państwo merkantylistyczne nie jest tylko synonimem takiego Ludwika XI lub Ludwika XIV; Prusy Fryderyka Wielkiego, rewolucyjna, jakobińska Francja, cesarstwo Napoleona, ba nawet Restauracja wyznają i stosują zasady protekcjonizmu i autarchji, reglamentacji i interwencji ze strony państwa.

Na tle wypadków politycznych tego okresu, ściślej zaś okresu od połowy XVII do połowy XVIII stulecia, powstaje merkantylizm jako prąd w publicystyce ekonomicznej, którego zadaniem staje się w pierwszym rzędzie uzasadnienie tendencyj autarchicznych, wyróżniających tę epokę. Początkowo merkantylizm wychodzi z założenia, iż każdy kraj produkuje towary ze względu na swą własną konsumcję i że tylko nadwyżki produkcji ponad kon-

---

*) Adam Heydel „Len czy bawełna?" (Łódź 1931, nakładem Izby Przemysłowo - Handlowej w Łodzi).

*) H. Tenenbaum „Użyteczność publiczna w przemyśle" („Przegląd Gospodarczy" zeszyt 22 rok 1931).

**) Roman Rybarski „System ekonomji politycznej. Tom I. Rozwój życia gospodarczego i idei gospodarczych" (Warszawa, 1924), str. 75.

sumcję mogą być przeznaczone na eksport, wzbogacający kraj. Montchrétien, który żył i pisał w okresie ówczesnej słabości politycznej Francji, zmuszonej do defenzywy wobec restrykcyjnej polityki Anglji, Holandji i Hiszpanji, podsuwał metodę biernej — że się tak wyrażę — autarchji, opartej o rynek wewnętrzny. Natomiast potężny Richelieu pojmuje merkantylizm jako ideę ofensywną, czynną. Idący w jego ślady Colbert zwalcza konkurencję zagraniczną we Francji i dla tej ostatniej zdobywa nowe i wzmacnia stare rynki zbytu, leżące poza granicami rynku francuskiego. Oba kierunki forsują rozwój krajowego przemysłu (manufaktur) i handlu, organizują w sposób planowy komunikację lądową i morską, tworząc pewne oryginalne formy gospodarujące (kompanje handlu morskiego, założone przez kapitał prywatny do spółki z kapitałem państwowym) i t. p.

Teorja i praktyka merkantylizmu popełniły zbyt wiele błędów i jednostronności, aby im to wyszło na zdrowie. Pewne przeciągnięcie struny względnie niedocenienie znaczenia rolnictwa (np. zakazy wywozu zboża) zemściły się na merkantylizmie w ten sposób, że fizjokratyzm odsunął go na plan dalszy. Nie można również zaprzeczyć, iż do upadku merkantylizmu przyczyniła się zbyt jednostronna interpretacja bogactwa (kruszec), jakoteż zbyt mocne a wąskie związanie handlu z wyzyskiem kolonij zamorskich. Dążenie do pełnej samowystarczalności przy jednoczesnem forsowaniu ekspansji ekonomicznej nazewnątrz kraju musiało grozić załamaniem się systemu, który nie rozumiał jeszcze zasad bilansu płatniczego.

To musiało wywołać i wywołało reakcję. Brała ona najpierw w obronę lekceważone rolnictwo (fizjokratyzm), następnie zaś wszelką swobodę wymiany towarów i kapitałów (liberalizm). Echa pierwszego kierunku trwają po dziś dzień: „jestem raczej zwolennikiem programu Polski rolniczej, aniżeli sztucznie uprzemysłowionej" — powiada prof. Heydel*). Wynika ten pogląd z teorji międzynarodowego podziału pracy, tego fundamentu liberalizmu. Teorja ta w konsekwencji głosić powinna zasadę ekwiwalentu gospodarczego w wymianie międzynarodowej — i gdyby nie jej liberalistyczna interpretacja, podpisałby się pod nią najzagorzalszy protekcjonista, zwolennik preferencyj etc. Tymczasem w rękach liberalizmu przybrała ona formę „klauzuli największego uprzywilejowania", której zmierzch obserwujemy w chwili obecnej. Jesteśmy również świadkami, że swobodną wymianę towarów i kapitałów trzeba nietylko głosić, lecz i realizować, w ścisłym przytem związku ze swobodą wymiany rąk roboczych — a te punkty nie są wykonywane od czasu ukończenia wielkiej wojny europejskiej.

Idea wolnego handlu rozwijała się w drugiej połowie XVIII wieku na podłożu specyficznych warunków gospodarczych. Dzięki stworzeniu w okresie merkantylistycznym kapitałów, a także dzięki wynalezieniu maszyn i posiadaniu niezwykle taniej siły roboczej, przemysł już nie potrzebował oparcia o państwo, handel zaś bazował się na poziomie kosztów produkcji, których podwyższenie groziło od strony systemu protekcyjnego. Stąd dochodziło do poglądów, pokutujących po dziś dzień, że jest wszystko jedno, gdzie dany kraj nabywa niezbędne mu towary — w kraju czy zagranicą — gdyż o tem decyduje jedynie cena (Louis Say). Wolny handel miał być motorem, przyśpieszającym rozwój kapitalizmu i tem samem nadejście socjalizmu — stąd sympatje Marksa dla „free trade".

Druga połowa ub. stul. i w. XX przekształciły liberalizm, a miejsce wolnego handlu zajmuje coraz to bardziej zasada protekcjonizmu. Stany Zjednoczone Ameryki i Niemcy, Carey i List, idea gospodarstwa narodowego, tendencje autarchiczne — oto wskaźniki radykalnej zmiany kierunku. Okres przedwojenny zapoczątkował, okres powojenny rozwinął — pomimo szeregu prób odwrotnych — doktrynę neo - merkantylizmu, doktrynę zawartą raczej w ustawach i rozporządzeniach, aniżeli w podręcznikach ekonomji teoretycznej i polityki ekonomicznej.

Neo merkantylizm (termin ten zresztą nie jest „oficjalnie" uznawany) cechuje w przeciwieństwie do merkantylizmu z epoki oświeconego absolutyzmu— możliwie *wszechstronna* opieka ze strony państwa nad *wszelkiemi* działami gospodarstwa narodowego. Państwo chroni dzisiaj i rozwija nietylko przemysł i komunikacje, lecz również rolnictwo, jedynie w stosunku do handlu pomoc ta jest nieco mniej zaawansowana, gdyż nowe, silne formy przemysłowe (kartele, koncerny i trusty) oraz spółdzielczość zdążyły zwęzić pole działania handlu, handel zaś zagraniczny kurczy się w miarę powszechnego rozwoju protekcjonizmu. Dzisiejszy merkantylizm charakteryzuje wielostronny rozwój gospodarczy, wzmagający siłę i znaczenie danego państwa w porównaniu z innemi państwami, nawet ich kosztem, oparty przytem o pomoc państwa i jego kontrolę. Można przytem zaobserwować dosyć ciekawą tendencję skierowania produkcji na potrzeby przedewszystkiem *rynku wewnętrznego* i ta tendencja pomimo dumpingu wzrasta powoli na siłach. Gdy zamiera produkcja, kurczą się obroty handlu zagranicznego, ale niezawsze jest vice versa, gdyż niejednokrotnie izolacja danego państwa sprzyja rozwojowi jego przemysłu (przykładem Stany Zjednoczone i Francja w okresie napoleońskim lub państwa zamorskie w XX stul.).

Że tendencje autarchiczne sprzyjają etatyzmowi sensu largo lub że są z nim integralnie związane, o tem nas przekonywa przebieg wypadków w ostatnich 13 latach powojennych. „Jeżeli kktoś stoi na gruncie ochrony celnej, jeżeli w państwie widzi kierownika polityki handlowej swojego narodu, to już nie może zaliczać siebie do szkoły liberalnej, choćby nawewnątrz był najzawziętszym przeciwnikiem etatyzmu i czysto prywatnej inicjatywy" *).

Autarchja rozwija się na podłożu w znacznym stopniu emocjonalnem, którego lekceważyć nie można, zwłaszcza w — polityce ekonomicznej. Hasła „samowystarczalności" poza ich stroną humorystyczną są czemś więcej niż przejawem ksenfobji gospodarczej, od której nie są wolni nawet tak do niedawna gorliwi „wolno-handlowcy" angielscy („buy british"!). Ten stosunek do towarów obcych zna już średniowiecze, kiedy restrykcje handlowe wobec towarów obcych odznaczały się egoizmem narodowym, wywodzącym się z egoizmu gmin i ce-

*) Heydel op. cit. str. 6.

*) R. Rybarski op. cit. str. 179.

chów. Ów „egoizm“ łączy się ściśle z chęcią skoordynowania handlu zagarnicznego z produkcją krajową. Chociaż liberałowie dowodzą, że nie państwa lub narody handlują ze sobą, lecz poszczególne jednostki, które, eksportując, nie myślą o przyszłym imporcie, wynikającym z ich eksportu, to jednakowoż w interesie *gospodarstwa narodowego,* jako całości, leży taki układ obydwóch stron bilansu handlowego, który nie pozwoli na jednostronne wyzyskiwanie sprzyjających okoliczności. Stąd już niektórzy liberałowie zgadzają się na pewien kompromisowy punkt widzenia. W jednym ze swych publicznych wykładów, urządzonym na jesieni ub. r. w Krakowie, prof. Heydel przyznał, że ze względu na potrzeby obrony kraju „pełnego liberalizmu w polityce handlu zagranicznego stosować nie można“. *A pojęcie obrony kraju jest bardzo obszerne i głębokie,* to też zastrzeżenie, iż „wolno nam popierać sztucznie pewne gałęzie produkcji, wolno mieszać się państwu do życia gospodarczego w tym zakresie, ale z tym warunkiem, że państwo zdaje sobie sprawę, że to się odbywa kosztem strat gospodarczych“, — ma na celu upozorowanie kompromisu, stwierdzonego wyżej.

Mówiąc o obronie kraju, jako argumencie neo - merkantylizmu, nie wyczerpujemy wszystkich głównych baz tego kierunku. Jak merkantylizm powstał na gruzach feodalizmu, tak neo - merkantylizm rozrasta się na ruinach systemu przewagi parlamentu. Gdy fizjokratyzm i liberalizm na plan pierwszy postawiły równość praw, to neo - merkantylizm przypomniał zasady oświeconego absolutyzmu, „który w imię hasła „Salus Reipublicae suprema lex“ budował gmach społeczny na idei maksimum i równości obowiązków każdego obywatela wobec państwa *). A kiedy i braterstwo państw kapitalistycznych i międzynarodowa wspólnota gospodarcza okazały się pustym dźwiękiem, liberalizm — jako gospodarcza doktryna międzynarodowa —nie mógł wytrzymać konkurencji neo - merkantylizmu, opartego o gospodarstwa narodowe. Czyż zresztą liberalizm nie był wygodnym parawanem dla ukrycia interesów anty - liberalnych? Wolno - handlowa Holandja, wypowiadająca się w XVII — XVIII w. za wolnością mórz (Grotius) i międzynarodową solidarnością gospodarczą (Pieter de la Court), potrafiła zasadę wolności gospodarczej podporządkować praktyce monopolistycznego stanowiska w handlu. A dzisiaj dochodzimy do tego samego wniosku, co ekonomista Hamilton, który w swym „Report of Manufactures“ (1791 r.) stwierdził, że skoro wszystkie narody przysięgają na protekcjonizm, amerykanie muszą uczynić to samo. Poprostu zrobiło się na świecie ciaśniej, niż w okresie rozkwitu liberalizmu. Claudio Janet już w 1889 r. pisał, że Rosja stanie się w ciągu najbliższych 50 lat „un monde économique aussi important que l'Amerique du Nord“, zaś Europa Zachodnia z Anglją na czele straci swe główne rynki zbytu (rosyjski, amerykański i azjatycki), a jej przemysł będzie się musiał zadowolić spożyciem wewnętrznem *). Kto wie jednak, czy dzisiejsza narodowa autarchja gospodarcza nie przekształci się z czasem w autarchję bloków regjonalnych, aby dojść nakoniec do autarchji bloków kontynentalnych. I to jest możliwe.

Neo - merkantylizm nie posiada doktryny naukowej, jak np. liberalizm, gdyż podobnie do merkantylizmu jest on „raczej fazą historycznego rozwoju Europy, aniżeli symetrycznym organizmem naukowym, przeprowadzonym we wszystkich kierunkach z równą ścisłością“, jak się o merkantyliźmie wyraził Bastable. Program neo - merkantylizmu nie jest zamknięty i wypracowany we wszystkich szczegółach, jego postulaty ulegają ciągłej ewolucji w zależności od osób i od warunków realnych— i to jest jego słabość w porównaniu z uniwersalizmem liberalizmu. Daje mu to jednak giętkość, niezbędną w epoce „burzy i nacisku“, którą dzisiaj przeżywamy. Nie twierdzimy, że każdy system jest dobry, byleby gospodarstwo narodowe wychodziło na tem jaknajlepiej — twierdzimy natomiast za Marksem, iż „żaden najdoskonalszy system stosunków produkcyjnych nie może się zjawić, zanim nie dojrzeją materjalne warunki jego istnienia w samem łonie starego społeczeństwa“. I jeżeli przyjmiemy, że takim „najdoskonalszym systemem“ może być liberalizm (rozumna wolność produkcji i wymiany, współpraca wszystkich państw i narodów), to niewątpliwie *dzień dzisiejszy* jeszcze do takiego systemu nie dojrzał, a mało jest szans po temu, by dojrzał doń i dzień jutrzejszy.

———————

*) Artur Benis w odczycie, urządzonym jesienią ub. r. w Krakowie staraniem Wyższego Studjum Handlowego.

*) „Le socialisme et la reforme sociale“.

U W A G I

BILANS BANKU POLSKIEGO Z 31.12 1931 r.

Analiza porównawcza ostatnio ogłoszonego dorocznego bilansu Banku Polskiego w zestawieniu z bilansem z roku poprzedniego pozwala zorjentować się we wpływie różnorodnych przejawów życia gospodarczego ostatnich czasów na stan interesów naszego banku centralnego. Bilans Banku Polskiego jest doskonałą ilustracją sytuacji gospodarczej kraju, gdyż jest niejako wypadkową wszystkich tendencyj, jakie na gospodarkę narodową oddziaływują.
Zmiany w wysokości rezerwy kruszcowo - dewizowej są wynikiem ostatecznym stosunków pieniężnych między Polską a krajami zagranicznemi, natomiast przesunięcia na rachunkach, dotyczących akcji kredytowej Banku, są wyrazem położenia gospodarczego kraju.
Rezerwa kruszcowo - dewizowa obniżyła się w ciągu 1931 roku o 162 milj. zł. (z 850 na 688), przyczem zapas dewiz zmniejszył się o 200 milj. zł., gdy natomiast zapas złota zwiększył się o 38 milj. zł. Zmiany te są przedewszystkiem wywołane odpływem rezerwy zagranicę, który trwał w ciągu roku ubiegłego głównie w związku ze spłacaniem przez banki kredytów zagranicznych, dla których wobec spadku obrotów gospodarczych zabrakło solidnej lokaty w kraju; następnie, zmniejszenie się wartości zapasu dewiz nastąpiło również w związku ze spadkiem kursu szeregu walut europejskich, a głównie funta angielskiego; wreszcie, wzrost zapasu złota, przy jednoczesnej redukcji rezerwy dewizowej, jest spowodowany stopniowem likwidowaniem przez Bank systemu „gold exchange standard".
W roku 1931 nastąpiło poważne zwiększenie rozmiarów akcji kredytowej Banku na potrzeby kraju. Zwiększenie to dokonało się dwiema drogami: przez wzrost pożyczek zastawowych o 40 milj. zł. (z 86 na 126) i przez udzielenie Skarbowi Państwa kredytu w wysokości 20 milj. zł. Jest to wyrazem z jednej strony zubożenia szerokich rzesz kapitalistów, którzy przez zastaw posiadanych walorów zmuszeni byli szukać sposobu zrównoważenia swych budżetów, a z drugiej strony ciężkiej sytuacji finansów państwowych, które przejściowo wymagały pomocy kredytowej ze strony banku centralnego; wiadomo jest jednak, że w listopadzie i grudniu dochody państwowe wykazały już nadwyżkę nad wydatkami. Natomiast, jeśli chodzi o portfel wekslowy, to stan jego uległ tylko drobnej redukcji o niecałe 2 milj. zł. (z 672,0 na 670,3). Ponieważ w roku 1931 nastąpiło zmniejszenie się obrotów gospodarczych w kraju i poczynił postępy spadek cen, przeto utrzymanie się portfelu wekslowego na niezmienionym poziomie uważać należy za faktyczne zwiększenie rozmiarów udzielonych przez Bank kredytów wekslowych.
W wyniku zmniejszenia się rezerwy kruszcowo-dewizowej o 162 milj. zł. przy jednoczesnem podniesieniu się wysokości udzielonych kredytów o zgórą pięćdziesiąt miljonów, obieg banknotów uległ redukcji o 110 milj. zł. (z 1.328 na 1,218). Stąd wniosek, że zwiększenie przez Bank akcji kredytowej na potrzeby kraju dotkniętego przesileniem nie miało w najmniejszej mierze charakteru inflacyjnego, ale przeciwnie obieg banknotów, zmniejszając się, przystosowywał się do spadku ogólnych obrotów gospodarczych w kraju i powszechnej zniżki cen.
Na innych rachunkach nie dokonały się poważniejsze zmiany.
Sytuacja Banku Polskiego po dokonaniu się powyżej opisanej ewolucji przedstawia się obecnie zupełnie pomyślnie, a nawet znacznie lepiej, niż się naogół przypuszcza. Pokrycie obiegu banknotów przez rezerwę kruszcowo - dewizową, po doliczeniu do niej należności zagranicznych oficjalnie niezaliczonych do pokrycia, wynosi 67%, a zaś pokrycie samym złotem 49%. Pokrycie obiegu banknotów i natychmiast płatnych zobowiązań przez oficjalną rezerwę wynosi 48%, a samym złotem 42%, czyli znacznie powyżej wymagań statutowych.
Zyski Banku Polskiego w r. 1931 były wyższe od zysków z roku poprzedniego o ok. 6 milj. zł., na co wpłynęło doliczenie do ich sumy dochodów z papierów Funduszu zapasowego, które dotychczas dopisywane były do kapitału zapasowego. Mimo odpisania strat na różnicach kursowych od operacyj zagranicznych i przeznaczenia 15 miljonów, jako rezerwy na pokrycie dalszych strat kursowych, czysty zysk wyniósł 24 milj. zł., z czego wypłaci Bank połowę akcjonarjuszom tytułem dywidendy w wysokości 12% i drugą połowę Skarbowi Państwa. Na zaznaczenie zasługuje fakt, że koszty handlowe zmniejszyły się blisko o 2 milj. zł., co stało się pod wpływem znacznego obniżenia uposażeń pracowniczych.

w. z.

AD ACTA.

Nad ustawą o popieraniu budownictwa mieszkaniowego zawisło nieszczęsne fatum. Trzy lata temu wniósł ją rząd premjera Bartla do ówczesnego Sejmu, gdzie spoczęła w mroku niepamięci. Po roku przypomniano sobie już nie tyle o ustawie, co o samem zagadnieniu, i puszczono w ruch wszystkie sprężyny, aby ustawę skonstruować. I skonstruowano ją: była celowa, logicznie zbudowana, miała wyraźny kościec finansowy obleczony w ciało społeczne. Mimo to nie ujrzała światła dziennego: w tymże 1930 r. zaczynał ją od *początku* jeden z ministrów resortowych. Zaczął — nie skończył (nie ze swej winy) — sprawa ucichła. Zimą 1931 r. prace nad ustawą potoczyły się ponownie. Jedna z wielu komisyj międzyministerjalnych ustaliła zasady, odpowiednie ciało rządowe zasady te przyjęło i poleciło odnośnemu ministrowi „rozbudować" je w formę przedłożenia rządowego. Sezon minął, polecenie spełnione... I czwarta ustawa poszła „ad acta".
Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy — nie czas żałować niedoszłych ustaw, gdy na wykonanie istniejących zabrakło pieniędzy. Nie o normy chodzi — a o kredyty; nie to ważne: komu je dać, lecz: skąd je wziąć. I jeżeli w okresie „prosperity" budowlanej nie interesowano się socjalną stroną problemu mieszkaniowego, to tem bardziej nie istnieje ona w momencie depresji i bezrobocia, kiedy nawet mysia dziura wystarczy do szczęścia, byleby zarobek był. Dziś ważniejsze jest, co robić z tysiącami wielo-izbowych mieszkań, których kosztorys obliczony był

nie na miarę krawca, lecz Rotschilda, a które grożą wyludnieniem. Nabudowało się tych dworków i bloków dla... inteligencji pracującej, z któremi więcej teraz kłopotu, niż satysfakcji, podczas gdy na mieszkania 1 — 3 izbowe popyt nie maleje, a rośnie. Nic nie szkodzi: przetrwamy! Zbliża się luty, najlepszy sezon dla projektowania ustaw o popieraniu budownictwa mieszkaniowego. Oczekujmy więc projektu — piątego. A o poprzednie cztery nie martwmy się: śpią cicho, złożone ad acta. Requiescant in pace!

z. i.

DYSKUSJA

W grudniu ub. r. Redakcja „GOSPODARKI NARODOWEJ" zwróciła się do szeregu osób, zajmujących się czynnie lub teoretycznie zagadnieniami z zakresu ekonomji politycznej, z ankietą w sprawie t. zw. końca kapitalizmu, nawiązując do dyskusji pomiędzy p. J. Poniatowskim (Nr. 16 z 1931 r.) a p. Z. Szemplińskim (Nr. 17 z 1931 r.).

Zamieszczone poniżej artykuły są pierwszemi odpowiedziami na wspomnianą ankietę. Dalsze odpowiedzi znajdują się w tece redakcyjnej i ukażą się w szeregu następnych numerów.

STEFAN MEYER

CZY KONIEC KAPITALIZMU?

„Czy koniec kapitalizmu?" Na tak po prostu postawione pytanie odpowiedź wypaść musi rozmaicie: tylorako, z ilu niezależnych składników ustrój kapitalistyczny jest zbudowany. Rozmaite są ich stopnie zniekształcenia i odchylenia od wzorców, uważanych przez nas, słusznie lub raczej niesłusznie, za klasyczne.

O ile wyjść z definicji kapitalizmu, jako zastosowania nieskrępowanego liberalizmu do zjawisk produkcji i wymiany dóbr materjalnych (gdzie pod liberalizmem rozumiemy autonomiczne regulowanie potrzeb społecznych przez ad hoc z woli obywateli wyłonione organa, niezależne od rządu), to tak pojęty kapitalizm, możliwy tylko przy wolnej cyrkulacji towarów, pieniędzy, robocizny, przy wolnej grze cen pracy i towarów, grze, będącej jedynie rezultatem popytu i podaży, — skończył się z chwilą, gdy choć jeden z powyższych czynników zaczęto regulować.

Możliwym był on jedynie przy istnieniu rynku nieograniczenie wielkiego w stosunku do możliwości produkcyjnych jednego przedsiębiorstwa i przy ujściu nadmiaru sił roboczych do kolonji. Dopóki więc emigracja była wolna i puste kraje stały otworem dla proletarjatu i kapitałów Europy, automatyzm, regulujący życie gospodarcze (najsilniejszy atut zwolenników liberalizmu gospodarczego), działał bez większego zarzutu, prowadząc przedsiębiorstwa do coraz silniejszej koncentracji, kraje zasobne w kapitał do coraz wyższej stopy życiowej, a pozostałe do coraz silniejszej pauperyzacji.

Człowiek jednak w ciągu 400 lat wypełnił granice, jakie przedsiębiorczość przodków mu otworzyła, i stosunki społeczne i gospodarcze musiały się przekształcić stosownie do tej zmiany najważniejszej. Dziś ten, komu źle, nie znajdzie pola działania wśród wysp Indyj Zachodnich, ani południowych mórz, ani na dzikim Zachodzie, czy w Patagonji. Dziś ziemia cała jest rozdzielona, podzielona i poprawę stworzyć można tylko przez przekładanie tych elementów, które wieki ubiegłe bezładnie rzucały za sobą w nieokiełznanej twórczości. *Przedewszystkiem więc dziś porządek; potem twórczość w ramach tego porządku.*

I oto bez zdawania sobie z tego sprawy, naskutek zbiegu drobnych przyczyn, pozornie niezależnych od siebie, pozornie dalekich od spraw kolonij, — ustrój gospodarczy przekształca się powoli: koncentracja przemysłu, automatyczna za czasów średniokapitalistycznych, dziś prowadzona jest z całą świadomością „dla uporządkowania rynku". Konwencje, kartele krajowe i międzypaństwowe, wspólnoty interesów — usunęły konkurencję, jeden z czynników automatyzmu; kontyngenty przywozowe na artykuły niezwiązane kartelami, mury celne, embargo, zakazy imigracji, cenniki płac, umowy zbiorowe, przymusowe ubezpieczenia, ograniczenia czasu pracy, koncesje na prowadzenie niektórych przedsiębiorstw... Cóż nam pozostało z tych lat nieograniczonej swobody ruchów? *Formy.*

Nacjonalizacja przemysłu w Rosji dokonana została w formie wywłaszczenia,—w formie gwałtu, który nieoczekiwanie spadł jednocześnie na wszystkich posiadających warsztaty pracy. W Italji przeszła ona bez większego echa w formie przelewu większości akcyj przedsiębiorstw przemysłowych przez jedną akcyjną spółkę finansową — do drugiej. Pierwsza miała charakter bardziej prywatnej instytucji, druga zależna jest od Banku Państwa. Wywłaszczenie drobnych akcjonarjuszy, przedsiębiorców samodzielnych, nastąpiło już dawniej, automatycznie i bez gwałtu — za odszkodowaniem odpowiednio zaksięgowanem i zlikwidowanem potem lub przedtem przez konjunkturę. Ten jeden przelew, to zmiana w treści ogromna — w formie zachowano całkowite decorum kapitalizmu.

Dziś formy kapitalizmu wyzute są ze swej dawnej treści: degenerują w rytuał. Najświetniej celebrowany rytuał — Walne Zgromadzenie Akcjonarjuszów

— jest powtórzeniem w minjaturze „lit de justice" w parlamencie paryskim. Jeszcze podnoszą głos akcjonarjusze opozycjoniści przeciw tym, czy innym posunięciom władz spółki, najczęściej przeciw tantjemom dla Zarządu, ale już rzadko słyszą inną replikę, jak wezwanie do głosowania. Szkoda słów. Przed kim są odpowiedzialni kierownicy publicznego majątku, zlanego w spółkach? Jakie kryterja stosować przy podtrzymaniu lub dopuszczeniu do upadku przedsiębiorstw, które bez pomocy państwa zginąć muszą, a ze względów społecznych zginąć nie powinny? W jaki sposób może i powinno państwo kontrolować inwestycje i zadłużenie w takich przedsiębiorstwach? Czy ograniczyć, czy rozszerzyć zamkniętą z istoty rzeczy listę uprzywilejowanych hurtowników — odbiorców syndykatu? Jaką im narzucić kontrolę? Oto pytania, których rozwiązania wymaga dziś życie gospodarcze. Fakt ich natarczywego powracania na porządek dzienny jest odpowiedzią na pytania postawione w począku.

Ale może definicja kapitalizmu, podana na początku, jest błędna? Może kapitalizm — to ustrój, w którym każdemu zjawisku odpowiada równoważnik kapitału, miara wartości tego zjawiska? Przy tej definicji, kapitalizm bynajmniej do upadku się nie chyli. Nigdy może tak prawdziwemi, jak dziś nie były sądy o ludziach, jak np. wyrażenie bankiera o jednym z klijentów konkurencyjnego banku, notorycznym szubrawcu: „Jest to pierwszorzędny człowiek: ja widziałem jego bilans" (autent.). Nigdy jeszcze pytanie: „*Co* ten człowiek jest wart?" nie mogło być tak skutecznie i bez szkody dla biegu rozumowania zastąpione pytaniem: „*Wiele* on jest wart?" Dziś wszystkie zjawiska codziennego życia dają się mierzyć i oceniać.

A może trzecia definicja jest słuszniejsza? Może kapitalizm to ustrój, umiejący produkować tylko z pomocą bardzo skoncentrowanego kapitału, tylko en masse, tylko mechanicznie?

Przy tej definicji trudno mówić o kapitaliźmie przed połową XIX wieku; natomiast dziś jesteśmy w dobie jego rozkwitu. Nieliczne samodzielne grupy finansowe, kulminujące w wielu układach w Państwie, muszą inicjować nowe działy wytwórczości; powoływać do życia nowe potrzeby i zaspakajać je. Tylko, że przy tej hyperkoncentracji żaden automatyzm stosunku produkcji do potrzeb nie reguluje. Jednostki kierujące nie biorą ryzyka (a ryzyko rozmaite istnieje przy każdej inicjatywie) na siebie, lub nieliczną grupę swoich najbliższych, a składają je na wielkie grupy finansowe, należące bądź do szerokich rzesz akcjonarjuszów, bądź do innych spółek, a w rezultacie do nikogo, czyli do całego społeczeństwa, bądź wręcz do Państwa. *Kontrola prewencyjna ich niezbędnej inicjatywy narzuca się tu z siłą konieczności.* Może mają to być badania psychotechniczne dla kierowników poszczególnych przedsiębiorstw; może starranne, bardzo staranne przygotowywanie ludzi do stanowisk, na których błędny krok grozi nie im, a w znacznej mierze całemu społeczeństwu?

Ogrom przedsiębiorstw przekracza możność szybkiej orjentacji i objęcia całości przez przeciętną jednostkę; konieczny jest sztab oraz środki porozumienia sztabowców. A więc: kalkulacje, ex ante i ex post, kosztów własnych, kalkulacje rentowności, kalkulacje ryzyka: ich ilości, stopnia prawdopodobieństwa, możliwości zbieżności; kalkulacja pojemności rynku, konkurencji materjałów zastępczych. Oto trwały dorobek hyperkoncenracji. Można się spierać, czy kapitalizm trwa, czy w czystej formie wogóle kiedykolwiek istniał. Owoce ostatniej jego fazy pozostaną bezsprzecznie na stałe dorobkiem ludzkości, tak jak protekcjonizm celny z epoki merkantylizmu przetrwał następny okres gospodarczy. Lecz im większa koncentracja, im mniej konkurentów, im kalkulacje bardziej pogłębione, — tem silniej odzywa się *potrzeba skoordynowania działalności odległych i zdawałoby się niezależnych gospodarczo jednostek. Potrzeba planu gospodarczego dojrzewa wśród przodujących umysłów świata „kapitalistycznego"*.

Plan i kontrola prewencyjna wymagają zakreślenia granicy,do której wolna konkurencja jest możliwa, a więc starokapitalistyczna indywidualna gospodarka jest korzystniejsza dla społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że sklep przeważnie będzie taniej prowadzony przez kapitalistę, aniżeli przez funkcjonarjuszy wielkiego koncernu, że mała fabryczka w wielu wypadkach będzie elastyczniejsza i sprawniejsza od wielkokapitalistycznego kolosu, że słowem, kapitalizm w dawnem znaczeniu, choć może w skarłowaciałej formie przeżyje okres swego rozkwitu, jak rzemiosło przeżyło średniowiecze i istnieje dziś jeszcze, jak choćby gady przetrwały neogen i żyją dziś, choć nie tak ogromne, jak w jurajskiej epoce rozkwitu. Istnienie przeżytych form i ich konieczność nawet w pewnym ograniczonym zakresie, nie jest dowodem, że okres rozkwitu tych form trwa jeszcze.

Po zakreśleniu granicy planu na czoło zagadnień wysuwa się sprawa kontroli prewencyjnej. Prymitywy etatyzmu tej sprawy nie rozwiazują, brutalna droga upaństwowienia nie prowadzi do celu. Kontrola prewencyjna konieczna jest zarówno w stosunku do przemysłu prywatnego, za który Państwo może obejmie gwarancje, jak w stosunku do przedsiębiorstw państwowych, za których błędy Państwo odpowiada z tytułu posiadania.

Brak wolnej konkurencji, plan gospodarczy, kierownicy z góry od lat dobierani na upatrzone stanowiska, — wszystko to musi pociągnąć za sobą pojawienie się innych zjawisk gospodarczych, znanych nam z okresu przed wielkiemi odkryciami geograficznemi. O ile sprawę uposażeń i wynagrodzeń ludzkość zawsze rozwiązuje jednakowo, t. j. przez niwelację zarobków i zręczniej lub gorzej zamaskowaną konfiskatę wybujałej substancji majątkowej prywatnej, o tyle *sprawa cen*, nieregulowana przez wolną konkurencję, *wróci w formie walki o „iustum pretium"*. Początki tej walki już dziś dają się zaobserwować u nas.

Drugim, trudnym do rozwiązania zagadnieniem nowej fazy ustrojowej będzie sprawa spisywania powstałych, mimo kontroli prewencyjnej, strat oraz nierentownie zużytych kapitałów. Sprawa ta dojrzała już do dyskusji publicznej, choć dotąd głośno się o niej nie mówi. Podobno z najrozmaitszych względów bądź gotówką, bądź gwarancjami angażuje się w przedsięwzięciach, dających w ostatecznem rozwiązaniu konfliktu straty. Straty te muszą być pokryte z kapitału narodowego — z pieniędzy podatkowych. Nowe inwestycje, o ile konieczne, a nierentowne, też tylko z podatkowych mogą być robione pieniędzy.

Wspomniana cecha kapitalizmu: rozbieżność war-

tości i ceny — jest zagadnieniem od kapitalizmu starszem i przetrwa go, jak i wiele innych zjawisk gospodarczych i form ich, uważanych niesłuszn za wytwór tego okresu: jak weksle, bilanse i nasz współczesny system kredytowy, wrosły korzeniami w bardzo odległą przeszłość.

A na zakończenie pytanie: wiele razy w ciągu ostatnich 2-ch i pół tysiąca lat historji śródziemnomorskiej istniał już kapitalizm?

Może odpowiedź na to pytanie ułatwi postawienie ścisłej definicji kapitalizmu, bez której tyle może być wróżb i horoskopów, dotyczących żywotności tego ustroju, wiele rozmaitych temperamentów wśród wróżbitów.

Definicja: „Kapitalizm jest ustrojem, w którym warsztat pracy należy do osób, nie pracujących przy nim“, lub „...którym pracujące przy nim osoby nie są właścicielami warsztatu pracy“ jest tak szeroka, że prawie w każdej epoce znaleźć można kapitalizm.

LEON OBERLENDER

KONIEC CZY EWOLUCJA KAPITALIZMU?

Zdaje mi się, że jeśli mamy dyskutować o końcu kapitalizmu, najważniejszą rzeczą jest ustalenie pojęcia kapitalizmu. Za ustrój kapitalistyczny w najszerszem tego słowa znaczeniu możemy uważać ustrój dzisiejszej zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych, oparty na indywidualnej własności i najemnej pracy. Ale jeśli chcielibyśmy np. uznać liberalizm ekonomiczny za nieodzowny składnik kapitalizmu, to już w okresie powojennym musimy zauważyć silne wypieranie tego czynnika przez państwowe monopole, przedsiębiorstwa i wogóle przez interwencjonizm państwowy w życiu gospodarczem. Lwia część zarzutów kierowanych przeciw kapitalizmowi kieruje się przeciw liberalizmowi ekonomicznemu, a również objawy przedstawiane jako koniec kapitalizmu, lub przynajmniej jego załamanie, dałaby się sprowadzić do ograniczenia liberalizmu ekonomicznego na rzecz interwencjonizmu w różnych państwach po wojnie.

Osobiście jestem zwolennikiem liberalizmu ekonomicznego, za co mnie już nawet spotkała nagana na łamach „Gospodarki Narodowej“. Oceniam też dzisiejszy odwrót od liberalizmu podług zasady tezy i antytezy, jako anormalny i przejściowy — i wierzę. że gdy przejdzie podrażnienie powojenne polityczne i związana z niem obawa o gospodarczą samodzielność i samowystarczalność na wypadek wojny, także w wewnętrzno-gospodarczej polityce, państwa cywilizowane wrócą na drogę liberalizmu ekonomicznego. Wszak i Rosja Sowiecka ma za sobą eksperyment „Nepu“ i kto wie, czy do tego eksperymentu nie zechce wrócić... Ale nie mam zamiaru w niniejszym artykule nikogo na liberalizm nawracać, ani przekonywać, że liberalizm ma przyszłość; wszelkie hipotezy co do przyszłości nie dadzą się poprzeć nigdy dowodami — i dlatego przekonanie w tych kwestjach jest raczej wynikiem wiary i nastawienia psychicznego, niż rozumowania naukowego. Dlatego chciałbym w niniejszym artykule dyskutować nad końcem kapitalizmu, przyjmując założenie p. Z. Szemplińskiego, że „historja się nie powtarza i dawny liberalizm nigdy nie powróci“. Posito, sed non concesso, jak zwykł mawiać mój mistrz, prof. Adam Krzyżanowski.

Wyobraźmy sobie więc, że dalsza ewolucja gospodarcza pójdzie wciąż dalej po linji ograniczania liberalizmu, że w dalszym ciągu będzie się podwyższać cła, wprowadzać nowe monopole i zakładać nowe przedsiębiorstwa państwowe. Czy w ten sposób dojdziemy do usunięcia kapitalizmu? Nie. Zastąpimy tylko kapitalizm prywatny kapitalizmem państwowym; państwo będzie jako kapitalista brało dochody lub ponosiło straty przy produkcji, państwo będzie płaciło pensje robotnikom i urzędnikom. Takie przemiany w najważniejszych przedsiębiorstwach mogą nastąpić bezboleśnie i prawie niedostrzeżenie. Wyobraźmy sobie, że w wielkiem Towarzystwie Akcyjnem państwo wchodzi jako udziałowiec najpierw w 20-tu procentach, a następnie podwyższa swój udział na 40, 60, wreszcie 100%. Dla pracowników zatrudnionych w tem przedsiębiorstwie, dla dostawców i odbiorców te zmiany mogą pozostać niedostrzeżone. Wyobraźmy sobie dalej, że temi lub innemi, ale zawsze ewolucyjnemi metodami, przeważająca ilość przedsiębiorstw przemysłowych przejdzie w ręce państwa i w ten sposób inicjatywa państwowa uzyska w produkcji przemysłowej przewagę nad inicjatywą prywatną. Wszystko to jednak nie będzie oznaczało końca dzisiejszego ustroju gospodarczego tak długo, jak długo inicjatywa prywatna nie zostanie całkiem uniemożliwiona lub zakazana, a to nie da się pomyśleć bez zupełnego zniesienia własności indywidualnej, lub przynajmniej bez reglamentacji tego, co prywatnym osobom wolno posiadać.

Sądzę, że nawet najwięksi zwolennicy interwencjonizmu i grabarze liberalizmu zgodzą się, że objawów ewolucji w kierunku uchylenia lub silniejszego ograniczenia własności indywidualnej, poza jedną Rosją Sowiecką, nigdzie zauważyć nie można. Jeżeli inicjatywa publiczna wypiera i zastępuje inicjatywę prywatną, to dotyczy to tylko produkcji przemysłowej i górniczej, ewentualnie handlu; w dziedzinie rolnictwa państwa naogół ograniczają się do interwencji pośredniej, a wyjątkowo tylko próbują konkurować z gospodarstwami prywatnemi. A nawet poza rolnictwem państwo bezpośrednim swoim wpływem ogarnia tylko większe zakłady produkcyjne; drobny przemysł, handel i rzemiosło, choć zależne od polityki gospodarczej państwa, opierają się jednak na inicjatywie i ryzyku prywatnem. Choćby więc 95% produkcji znalazło się w rękach państwa i państwo zatrudniało 95% ogółu pracującej ludności, to jednak jak długo państwo będzie pozwalało swym obywatelom nabywać na własność zasadniczo wszelkie dobra i nie będzie zabraniało wytwórczości prywatnej, tak długo istnieje możliwość, że ci zatrudniani przez państwo pracownicy mogą oszczędzać i w stosownej chwili zamienić się w samoistnych producentów — i że państwo na każdem polu może się spotkać z konkurencją prywatną, jeżeli tylko nie posiada prawnego mono-

polu. Ustrój, w którym kapitalizm państwowy osiągnie przewagę nad prywatnym, nie przestanie jednak być ustrojem kapitalistycznym, choć będzie się niewątpliwie silnie różnił od obecnego ustroju. Ale i obecny ustrój prawie wszystkich państw różni się silnie od młodszych okresów kapitalizmu, np. z przed lat 50-ciu, a jednak tak dzisiejszy jak i ówczesny ustrój nazywamy ustrojem kapitalistycznym.

P. J. Poniatowski twierdzi, że, głosząc koniec kapitalizmu, trzeba wskazać prawdopodobnego następcę. Zgadzam się z tem zapatrywaniem, a z tego co powiedziałem wyżej wynika, że za następców kapitalizmu uważałbym tylko Socjalizm i Komunizm; natomiast Faszyzm, wymieniany przez p. Szemplińskiego jako trzeci ewentualny następca, jest w mojem rozumieniu tylko nieco zmodyfikowanym kapitalizmem, zresztą uważam Faszyzm za ruch przedewszystkiem polityczny, w którym program ekonomiczny nie jest jasno nakreślony i może być w każdej chwili podporządkowany względom politycznym. Widać to najwyraźniej u hitlerowców niemieckich, których program ekonomiczny jest zupełnie chaotyczny i chwiejny, np. w kwestji własności ziemi i narzędzi produkcji. W mojem rozumieniu kapitalizm trwać będzie tak długo, jak długo możliwa będzie własność indywidualna ziemi i narzędzi produkcji, jak długo istnieć będzie możność oszczędzania czyli gromadzenia kapitałów i produkcja na własny rachunek jednostki nie będzie zabroniona. Ponieważ nie zdaje mi się, żebyśmy szli w kierunku usunięcia tych wszystkich możliwości, wydaje mi się, że mówienie o końcu kapitalizmu jest jeszcze przedwczesne. Wydaje mi się, że socjalizm, jeśli chodzi o jego naczelne programowe hasło zniesienia własności prywatnej na narzędziach produkcji, jest dzisiaj, jak słusznie zauważa p. Poniatowski, niedojrzały do panowania nad światem. Nie przypuszczam też, żeby bez jakiejś nagłej katastrofy hasła komunistyczne mogły się przyjąć poza Rosją Sowiecką; siła atrakcyjna programu Sowietów jest dziś słabsza, niż w chwili zakończenia wojny światowej, chociaż zainteresowanie Rosją chwilowo dzięki propagandzie „piatiletki" się wzmogło.

Natomiast zdaje mi się, że zmiany w obecnym ustroju kapitalistycznym idą w tym kierunku, że ten kapitalizm adoptuje dobrowolnie część programu socjalistycznego — i w drodze kompromisu społecznego przeszczepia te zasady na grunt kapitalistyczny. Takim kompromisem są np. ubezpieczenia socjalne i pośrednictwo państwa w sprawie płac, które zamiast nieograniczonej walki klas, z jednej strony chronią pracodawcę przed nadmiernemi żądaniami robotnika w czasie dobrej konjunktury, a z drugiej strony nie pozwalają pracodawcy wyzyskiwać bezrobocia dla dowolnej obniżki płac. Interwencjonizm państwowy działający w imię interesu ogólnego wbrew kapitalistycznej zasadzie rentowności produkcji, jest również wynikiem kompromisu kapitalistycznej zasady dążenia do osiągania zysku, z socjalistyczną zasadą naginania produkcji do potrzeb. Przykładów możnaby wyliczać więcej i sądzę, że ewolucja w tym kompromisowym kierunku jeszcze nie jest zakończona; ale kompromis ten nie dotyka podstaw ustroju kapitalistycznego, które zostały nienaruszone. I sądzę, że dalsza ewolucja również poruszać się będzie w zasadniczych ramach kapitalizmu.

Objawy kryzysu obecnego najważniejsze, tj. nadprodukcję i bezrobocie uważam zgodnie z p. Poniatowskim za objawy możliwe w każdym ustroju, z których nie można kuć broni przeciw kapitalizmowi. P. Szempliński twierdzi, że w Rosji Sowieckiej niema bezrobocia; oczywiście, jeśli można jak w Rosji zatrudniać ludzi przymusowo i kazać im wykonywać roboty niezawsze gospodarczo konieczne, to jawnego bezrobocia się unika; ale jeśli się zatrudnia ludzi przymusowo przy produkcji, która się społecznie nie opłaci, to mamy tu z punktu widzenia gospodarczego ukrytą nadprodukcję i ukryte bezrobocie, podobnie jak kartele sztucznie tłumią objawy kryzysu, ograniczając dobrowolnie produkcję, aby uniknąć zniżki cen.

Wreszcie, jeśli chodzi o przyczynę obecnego kryzysu, to uważam, że jest nią wojna światowa i jej skutki. P. Poniatowski ma może rację, że gdyby wojny nie było, i tak mielibyśmy dziś inną strukturę gospodarczą, niż przed laty 30-tu. Ale te właśnie objawy kryzysu: bezrobocie i naprodukcję zawdzięczamy prawie w całości wojnie światowej i dążeniu do samowystarczalności, które nam zostało jako dziedzictwo wojny światowej. Z tego też powodu jestem skłonny wierzyć w przejściowość dzisiejszych zasad interwencjonistycznych; ale jeśli nawet p. Szempliński ma rację, że liberalizm jest skazany na śmierć, to nie wynika stąd jeszcze koniec kapitalizmu. Zgadzam się z p. Szemplińskim, że kapitalizm może ulec przekształceniu; ale hasło „świadomego przekształcania" oblicza kapitalizmu wydaje mi się utopją. W żadnym razie nie wydaje mi się możliwem, by takie przekształcenie mogło być trwałe i zgodne z celem jego twórców, jeśli dokona go każda państwo dla siebie bez uzgodnienia międzynarodowego wszystkich poczynań.

Dziś takie uzgodnienie międzynarodowe jest niemożliwe, a kiedy będzie możliwe, wtedy będzie możliwy także powrót do liberalizmu. Dlatego sądzę, że zmiany w kapitaliźmie będą się rozwijały niezależnie od naszej woli, choćby entuzjaści interwencjonizmu mieli złudzenia, że to oni kształtują „nową rzeczywistość".

Stałymi współpracownikami *„Gospodarki Narodowej"* są:

Barański Władysław, Bernhardt Witold, Bobrowski Czesław, Chrzanowski Józef, Drozdowski Marjan, Dziurzyński Patrycy, Greniewski Henryk, Ivanka Aleksander Konstanty, Kaczorowski Michał, Kolanowski Karol Adam, Landau Władysław, Łączkowski Bohdan, Łopieński Zdzisław, Łychowski Tadeusz, Mohl Wacław, Panek Tadeusz, Pogorzelski Mieczysław, Poniatowski Józef, Przybyłkiewicz Zygmunt, Rychliński Stanisław, Smerek Mieczysław, Sokołowski Kazimierz, Szempliński Zygmunt, Warchoł Stefan, Wojtyna Józef i Zbijewski Walery.

NOTATKI

CUI BONO?

Utarło się, że cudzoziemiec, nie znający jeszcze kraju, w którym wypada mu wygłosić pewną liczbę przemówień o charakterze reprezentacyjnym, sławi „przyrodzoną żyzność gleby“, „obfitość bogactw naturalnych“, „mrówczą pracowitość mieszkańców“, ich „patrjotyzm i zamiłowanie pokoju“, „pełną sławy przeszłość“ (w stosunku do Polski dodaje się: „i nieszczęść“), czasem, ale to już niekoniecznie, także dorobek życia współczesnego, rozwój gospodarczy, kulturalny lub naukowy. Jest to szablon ogólny, może nieco modyfikowany dla krajów, notorycznie upośledzonych przez przyrodę, jak Finlandja lub Estonja, pozatem niemal wszędzie stosowany z powodzeniem i naprawdę — nieszkodliwy. Nieszkodliwy dopóty, dopóki słuchacze, którzy powinni swój kraj znać o wiele lepiej od przelotnych przybyszów, nie zaczynają brać tych komunałów na serjo i na ich podstawie kształtować sądy o własnej ojczyźnie. Tak właśnie dzieje się w Polsce i to jest tem bardziej zdumiewające, że część naszego społeczeństwa odznacza się przesadnym krytycyzmem, graniczącym z oczernianiem własnego kraju wśród obcych. Dziwimy się często ignorancji francuza lub anglika na temat spraw polskich. Co gorzej, płacimy za tę ignorancję w postaci wyższego oprocentowania kredytów. Postawmy się jednak w położeniu cudzoziemca, któremu urzędowa propaganda i niektórzy polacy opowiadają o naszem bogactwie przyrodzonem, a inni rodacy, albo usłużni sąsiedzi informują o nędzy na wsi, o małem tempie życia gospodarczego, o złym stanie dróg, barbarzyńskim wyglądzie miasteczek i t. p. Albo cudzoziemiec ten zadecyduje, że widocznie jesteśmy małej wartoci narodem, który swych możliwości nie umie wyzyskać, albo, jeśli posłyszy także o „mrówczej pracowitości“, dojdzie do przekonania, że sprzeczne informacje muszą być fałszywe i przestanie nam wierzyć. Wyjaśnianie bowiem wszystkiego wrogą polityką państw zaborczych jest zawsze przyjmowane z pewną dozą ostrożności.

Sądzę, że nasz prestige narodowy niczby nie ucierpiał, a zrozumienie naszych stosunków wzrosłoby, gdybyśmy się starali informować siebie i obcych jaknajbardziej zgodnie z rzeczywistością i zamiast nic nie mówiących superlatywów, szukali właściwej miary dla porównań. Tak np. nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy podkreślać na każdym kroku, że Polska jest jednym z *najmniej żyznych* krajów rolniczych świata, że stosunki nasze pod tym względem są zbliżone do niemieckich, a zatem wydobycie z naszej ziemi przeciętnego plonu, znacznie przewyższającego plony w Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Rumunji i innych krajach czarnoziemu stepowego, jest dowodem znacznego już wysiłku ludności, że wprawdzie posiadamy mało nieużytków w pełnem znaczeniu tego słowa, ale za to olbrzymia część naszych użytków musi być uważana za pół użytek z powodu nieuregulowanych stosunków wodnych; że nasze łąki i pastwiska już ze względów klimatycznych dotkliwie ustępują łąkom i pastwiskom północno - zachodniej i środkowej Europy; że okres wegetacyjny jest w Polsce o 3 — 6 tygodni krótszy niż w krajach, otaczających morze Północne; że ziarno naszych zbóż ze względów klimatycznych posiada niższy ciężar objętościowy, niższą zawartość białka i w rezultacie jest niżej cenione, niż ziarno z obszarów klimatu lądowego, że zatem przy ocenie wyników gospodarczych, osiąganych przez polskie rolnictwo, należy brać pod uwagę *trudne warunki przyrodzone* naszego kraju. Nie widzę również powodu nadmiernego sławienia naszych bogactw kopalnych. Należymy pod tym względem do krajów *średnio uposażonych*, nie mogących się równać nietylko ze Stanami Zjednoczonemi, Chinami, Niemcami lub Anglją, ale także z Francją, Belgją, Kanadą lub Japonją. Posiadamy poważne złoża węgla kamiennego, niskoprocentowych rud żelaza i soli kuchennej, prawdopodobnie sporo soli potasowych, wyczerpujące się złoża ropy naftowej, rud cynkowych i ołowianych. Jesteśmy więc krajem pod względem metali zdecydowanie ubogim, bogactwo zaś węgla stanowi raczej rezerwę możliwości rozwoju na przyszłość, niż ożywia gospodarstwo obecnie, gdy wskutek konkurencji wywozowej płacimy za własny węgiel drożej niż kraje, które go są pozbawione. Mamy stosunkowo mało i niedogodnie położonego kamienia budowlanego, mamy różnorodne gliny do kaolinu włącznie, jednak ten ostatni surowiec importujemy. Mamy wreszcie znakomite nadzieje na odkrycia, które mogą jeszcze być dokonane, ale te nadzieje mają niemal wszystkie kraje na kuli ziemskiej.

Uwydatnienie trudności przyrodzonych i oszczędnego uposażenia nas przez naturę, zmusza do rozstania się z legendą, jakobyśmy się znajdowali w optimum zewnętrznych warunków rozwojowych. Zachodzi jednak pytanie, czy podtrzymywanie tej legendy nie byłoby najbardziej na rękę tym, którzyby chcieli wykazać, że Polska jest narodem niedołęgów. Innego z niej pożytku nie widzę.

j. p.

DZIEŃ PRACY.

W Polsce — za przykładem państw, gdzie reklama i propaganda stanowią poważny czynnik ekonomiczny i psychologiczny — urządza się od czasu do czasu różne „Dnie“ i „Tygodnie“. Mamy więc „Tydzień L. O. P. P.“, „Tydzień Przeciwgruźliczy“, „Tydzień Nauki Chodzenia po Ulicach“, „Dzień Matki i Dziecka“, „Dzień Litości dla Zwierząt“ itp. Zdarza się przytem, że w czasie odbywania „Tygodnia Pomorskiego“ świętujemy — dajmy na to — „Dzień Oszczędności“, ale to nic nikomu nie szkodzi, a świadczy o potrzebie imprez, które przemawiałyby jaskrawo do stępionej, niewrażliwej psychiki tłumu obywateli, posiadających znajomość nauki czytania.

W powodzi reklamowo - propagandowych „Dni“ i „Tygodni“ których znaczenia i pożytku bynajmniej nie neguję, zabrakło jednego: „Dnia“ lub „Tygodnia“ — pracy. Zapewne, pracuje się w Polsce rok długi z wyjątkiem niedziel i świąt, a propaganda pracy zakrawa na ironję, zwłaszcza, gdy się ma w pamięci słowa Starego Testamentu („w pocie czoła chleb swój spożywać będziesz“)... Nie chodzi mi jednak o poparcie propagandy poczciwej „Ligi Pracy“, lecz o to, żeby zwrócić uwagę na pewien

moment równie strukturalny, co konjunkturalny. Kapitał w Polsce nie rodzi się na kamieniu, natomiast kamieni mamy pod dostatkiem. Dzięki czcigodnej epoce lodowcowej ilość wszelkiego rodzaju głazów narzutowych jest zupełnie wystarczająca, aby wybrukować wszystkie polskie miasteczka, liczące conajmniej 5.000 mieszkańców. Kamienie, otrzymane dzięki erozji, pochodzenia wulkanicznego itp., również są w wielkiej obfitości. Nie pozostaje przeto nic innego, jak zwieść te zawalidrogi na kupę, co grubsze sztuki młoteczkiem postukać (są i nowe systemy: maszyny do łamania kamieni) i wziąć się do układania dróg bitych.

Powyższe refleksje nasunął mi obrazek, umieszczony w „Gazecie Polskiej" z dnia 4 stycznia br. Przedstawia on grupę młodzieży, zajętą ładowaniem ziemi na wóz; tytuł głosi: „Strzelcy przy pracy obywatelskiej", przyczem okazuje się, że chodzi tutaj o „strzelców z powiatu przeworskiego (Małopolska) w czasie urządzanego przez miejscowy oddział strzelecki „dnia pracy" przy naprawie drogi miejskiej".

Wypadek sporadyczny, ba! wogóle wyjątkowy. Wyobrażam sobie, ilu też gapiów obserwowało ten strzelecki wyczyn i to przez cały czas trwania roboty. Nie jedli, nie pili — ale się gapili. I napewno nie pomogli. A szkoda! Zamiast ładnego a pożytecznego gestu byłby taki wspólny, gromadzki „Dzień Pracy". Nie propaganda pracy czy pracowitości, lecz poprostu prozaiczny dzień usuwania wybojów, na których łamią się koła i końskie nogi.

Znając słomiany ogień zapału polskich działaczy społecznych, możnaby opisywany wypadek zaliczyć do kategorji żartów. Ale „dobry żart — tynfa wart": przeliczając tynfy na grosze, zawsze otrzymamy kilkanaście groszy, a może i złotych. To już jest coś, a o ile wszystkie oddziały Związku Strzeleckiego zaaprobują zabawę swych kolegów z Przeworska, to będzie dużo. Poza Związkiem Strzeleckim na wsi i w miastach organizacyj nie brakuje, jest więc szansa, że taki drogowy „Dzień Pracy", odpowiednio zorganizoway, przyniósłby w całej Polsce rezultat naprawdę niepowszedni. Możnaby ogłosić konkursy z nagrodami Ministerstwa Robót Publicznych, filmować zawodników, zwolnić od zajęć w szkołach itp. Sposobów pobudzenia emulacji nie brakuje — o to można być spokojnym.

A gdy raz, drugi i trzeci urządzi się wszędzie taki „Dzień Pracy", nie trudno będzie zrobić jeszcze jeden krok i poprostu przy pomocy nadmiaru bezczynnych rąk roboczych na wsi wykonać roboty drogowe na większą skalę. Kto nie jest w stanie uiścić się z podatków w pieniądzu, niech płaci robocizną; w ten sposób pojmowano początkowo świadczenia akademików warszawskich na rzecz budowy domów akademickich. Samorządy zalegają z poważnemi należnościami dla Skarbu Państwa: niech je spłacą „in natura", budując i reperując szosy pracą swoich podatników. Bo na P. Fundusz Drogowy, którego strona dochodowa stoi pod znakiem zapytania, a w wydatkach, preliminowanych na r. 1932/33 aż 34% przeznacza się na pozycje martwe (spłata pożyczek, wyd. administracyjne i zwroty kosztów), niema co liczyć. A czekanie na poprawę konjunktury wydaje się zbyt kosztowne.

k. b.

„PIATILETKA" I MYDŁO.

Dość dosadne i trafne powiedzenie jakiegoś ekonomisty, że kulturę każdego narodu można mierzyć przeciętnem zużyciem mydła, zyskało dużą popularność i powszechne uznanie. Jest zatem rzeczą ciekawą spojrzeć pod tym, oczywiście bardzo jednostronnym, kątem widzenia na sukcesy sowieckiej „piatiletki".

Otóż wyrób mydła gospodarskiego w roku 1927 wyniósł 240 tys. t. w roku 1928 — 29 (pierwszym roku „piatiletki") — 257 tys. ton, a w roku 1929 — 30 — 294 tys. ton. Program produkcji na rok 1931 wyznaczył zadanie 500 tys. ton mydła gospodarskiego i toaletowego łącznie. Z braku dokładniejszych danych możnaby o realizacji tego programu sądzić na podstawie cyfr tyczących się II i III kwartału, w których plany są wykonywane zaledwie w 50%, skąd możemy wywnioskować, że ogólna produkcja za rok da tylko jakie 250 tys. ton, w czem najmniej 25 tys. ton mydła toaletowego, które w celu porównania z latami poprzedniemi należy odjąć. Otrzymamy wówczas cyfrę 225 tys. ton i możemy teraz stwierdzić, że produkcja mydła, przy jednoczesnym dużym wzroście ludności, spada coraz niżej w miarę zbliżania się „piatiletki" do końca swego terminu.

Nie wdając się w rozważania nad przyczynami tego zjawiska (zauważę tylko mimochodem, że zostało ono wywołane brakiem tłuszczów), chcemy pozwolić sobie na złośliwość i satysfakcję stwierdzenia, że w miarę postępów realizacji planów socjalistycznego budownictwa — ludność ZSSR. jest coraz brudniejsza. Okoliczność ta nie robi oczywiście dziury w czerwonym sztandarze, stanowi jednak niewątpliwie brudną na nim plamę, to też władze sowieckie usiłują wszelkiemi sposobami poprawić sytuację w tej dziedzinie. No i na wszelki wypadek mają w zanadrzu argument, że przy planowej gospodarce, wobec zmniejszonej produkcji przemysłu włókienniczego, należy również zmniejszyć ilość mydła, ponieważ jest mniej odzieży do prania.

z. s.

REDAKCJA NIE ZWRACA NADESŁANYCH RĘKOPISÓW.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 28 M. 6 TEL. 221-05. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Stołeczna", Wolska 16. Tel. 688-67.